

GOŁOS SWIDNIKA

TYGODNIK ZAŁOGI WSK „PZŁ-SWIDNIK” SA
Nr 44/45 (1118/1119) 21 grudnia 1992 r. Cena 500 zł

W TEJ CODZIENNEJ SZAROŚCI TAK BARDZO ZMĘCZENI

Jakże trudno napisać dzisiaj radosny tekst z okazji świąt Bożego Narodzenia. Bo przecież Boże Narodzenie, to takie radosne święto... Choinka, Wigilia, tamanie się opłatkiem... Koledy... Zaprzężone w renifery sanie, z których spogląda na nas uśmiechnięty święty Mikołaj. A na plecach ma wielki worek, wypchany prezentami. Puszyszta biel śniegu...

W tym roku chyba nawet śniegu nie będzie. A w naszych domach, w wielu naszych domach, zabraknie także nadziei... Bywały już w naszej trudnej historii, również tej najnowszej, takie momenty, w których brakowało — mogło się tak wydawać — wszystkiego. Nie szczędziła nam historia gorczy i rozczarowań, nie rozpieszczała... Ale nawet w tych najtrudniejszych historycznych momentach, gdy brakowało i wolności i chleba, gdy za każdym rogiem, za każdym krzakiem czaił się mogło śmiertelnie niebezpieczeństwo, na przekór wszystkim przeciwnościom tliła się w wielu sercach nadzieja. Łatwiej chyba było wykrzesać w sobie wiarę.

W to, że zło nagle ustąpi, że będzie lepiej, że słońce zaświeci wrzescie i po naszej stronie ulicy... A choćby nawet i w cud. W dzisiejszej Polsce chyba już nikt nie wierzy w cud.

Nikt już nie ulega złudzeniom, że ni z tego, ni z owego nastąpi radykalna poprawa sytuacji gospodarczej, która sprawi, że zacznie się nam żyć lepiej. Coraz mniej osób liczy na to, że taka poprawa nastąpi choćby i stopniowo, w jakiejś okolicy — wyobraźniowej z punktu widzenia jednostki — perspektywie. Coraz więcej osób nabiera przekonania, że będzie jeszcze gorzej...

Poczucie zagrożenia, niepewność jutra — to najbardziej rozpowszechnione dziś odczucia. W oczach wielu matek, wielu pań domu, gdy pomyślą o świątecznym stole, czai się strach...

Nie trzeba przecież wcale świątecznego miesiąca, a i tak w wielu domach nie udaje się już związać końca z końcem. Bynajmniej nie z powodu rozrzutności, albo życia ponad stan. Wiedzą o tym dobrze nie tylko pracownicy opieki społecznej, czy działacze komitetu SOS. Dla ilu to rodzin jedyną szansą przetrwania jest kupowanie na kreskę...

Swidnik jest takim miastem, w którym raczej nie rzuca się w oczy niedza. W wielu innych, nie tylko większych miejscowościach, zjawisko to znacznie bardziej jest zauważalne. Nie znaczy to jednak wcale, że niedza w naszym mieście nie ma. A i rozpiętość pomiędzy skromnym życiem, ubóstwem i niedzą coraz to staje się mniejsza, coraz to bardziej zaciera się granice... I jak tu w takiej sytuacji pisać z okazji Bożego Narodzenia tekst radosny?

Działło się to już prawie dwa tysiące lat temu w pewnym małym, zupełnie nikomu nie znanym miasteczku Betlejem, na samym końcu świata... Przybyło do niego zmęczone długą drogą, biedne małżeństwo — cięśla Józef i jego żona, Maria. Miasteczko było przepelnione. Nigdzie nie mogli znaleźć noclegu, nawet kąta. A może nie mieli pieniędzy? Zapadał zmrok. Wiał zimny, coraz zimniejszy wiatr...

— Już nie mogę, Józefie — mówiła ona, coraz częściej przytrzymując się za brzuch.

— Wytrzymaj jeszcze trochę, Mario. Popatrz, tam niedaleko jest jakaś szopa. Wejdźmy do niej. To chyba stajenka...

Cezary Listowski

Spokojnych, zdrowych
świąt

Bożego Narodzenia

wychnienia od codziennych trosk

oraz pomyślności w

Nowym Roku

zyczy mieszkańcom miasta

Burmistrz

Stanisław Skrok

Życzenia pogodnych, rodzinnych

Świąt Bożego Narodzenia

oraz pomyślnego

Nowego Roku

składa

Larząd

WSK „PZŁ-Swidnik” S.A.



Mówi ksiądz proboszcz Andrzej Książ:

Jest to dzieło mojego życia

● Do Swidnika został Ksiądz Proboszcz skierowany w roku...

— W sierpniu 1982.

● Intencją ks. biskupa było rozpoczęcie tu budowy drugiego kościoła?

— Zgadza się.

● Czy Ksiądz jest „specjalistą” od budów?

— Może do pewnego stopnia... Wcześniej, pod nadzorem tamtejszego proboszcza, budowałem pierwszy kościół w Krańniku Fabrycznym. Był to kościół św. Józefa. Z pewnością nie pozostało to bez wpływu na decyzję ks. biskupa.

● Czy utkwiło Księdzu w pamięci coś szczególnego, coś ważnego dla tej budowy? Może jakieś istotne zdarzenie...

— To było na samym początku. Chodziło o lokalizację świątyni. Stoczyłem o to wyczerpującą walkę. Uważałem, że ten kościół powinien stanąć właśnie tutaj, w mieście. Wiedziałem, że mam rację. I ciesze się, że stoi dzisiaj tu, gdzie powinien stać. Bo przecież dzisiaj już nikt nie podaje w wątpliwość tego, że jest tu potrzebny. I może jeszcze druga sprawa. Chodzi mi o decyzję jak najszybszego wybudowania budynku plebanii i duszpasterstwa. Łatwo się dzisiaj zapomina w jakich to było czasach...

● A społeczeństwo bardzo wtedy potrzebowało miejsc nie uzależnionych od władz politycznych do prowadzenia swojej działalności, także kulturalnej, do pracy z młodzieżą...

— To wszystko jeszcze nie tak dawno musiało odbywać się przy kościołach. Stąd, wbrew temu, co wielu wtedy bezkrytycznie powtarzało nie chodziło wówczas o wygodne mieszkanie dla księży...

● Proszę Księdza. Czaszy mamy takie, jakie mamy. I dlatego pro-

szę się nie dziwić temu pytaniu. Chodzi o pieniądze na budowę. Skąd one się brały?

— Pieniądze są od ludzi. Z ofiar parafian, ze zbiórek... Przecież to ich kościół i dla nich. Gdyby nie ich ofiarność, gdyby nie ich praca, kościół by tu nie stanął.

● Skoro tak, to proszę określić, jaką część prac wykonali sami parafianie?

— Co najmniej 80 procent. Oczywiście w ramach, to takie niemożne dzisiaj określenie, prac społecznych. Nie chce wyróżniać nikogo, bo trzeba byłoby wymienić bardzo wiele nazwisk, a i tak nie z pewnością wszyscy pobraliby się pominięci. Ale niektórzy spośród parafian na prace nad budową tej świątyni poświęcili całą swoją wolną czas. I to nie przez jeden rok...

● Co dalej? Czy Ksiądz Proboszcz pozostanie już tutaj? Czy też ruszy w dalszą drogę? Budować jakiś następny kościół?

— To już zależy od księdza biskupa...

● Rozumiem. Odpowiedź wysocę dyplomatyczna. Wiele może inaczej... Czy chciałby Ksiądz tutaj pozostać?

— Tak. Myślę, że jest to dzieło mojego życia i chciałbym tu jeszcze popracować. Tym bardziej, że nie chodzi przecież o same mury... Jest to coś znacznie większego, zorganizowanie życia całej parafii, całej duszpasterstwa... Chodziło mi przecież o to, żeby do tego nowego kościoła ludzie chcieli przychodzić. I chca!

● Skoro mowa o duszpasterstwie...

— W parafii pracuje czterech księży — wikariuszy. Zajmują się oazami, scholą, kołami różańcowymi, ministrantami. Oczywiście

się nie dziwić temu pytaniu. Chodzi o pieniądze na budowę. Skąd one się brały?

— Pieniądze są od ludzi. Z ofiar parafian, ze zbiórek... Przecież to ich kościół i dla nich. Gdyby nie ich ofiarność, gdyby nie ich praca, kościół by tu nie stanął.

● Skoro tak, to proszę określić, jaką część prac wykonali sami parafianie?

— Co najmniej 80 procent. Oczywiście w ramach, to takie niemożne dzisiaj określenie, prac społecznych. Nie chce wyróżniać nikogo, bo trzeba byłoby wymienić bardzo wiele nazwisk, a i tak nie z pewnością wszyscy pobraliby się pominięci. Ale niektórzy spośród parafian na prace nad budową tej świątyni poświęcili całą swoją wolną czas. I to nie przez jeden rok...

● Co dalej? Czy Ksiądz Proboszcz pozostanie już tutaj? Czy też ruszy w dalszą drogę? Budować jakiś następny kościół?

— To już zależy od księdza biskupa...

● Rozumiem. Odpowiedź wysocę dyplomatyczna. Wiele może inaczej... Czy chciałby Ksiądz tutaj pozostać?

— Tak. Myślę, że jest to dzieło mojego życia i chciałbym tu jeszcze popracować. Tym bardziej, że nie chodzi przecież o same mury... Jest to coś znacznie większego, zorganizowanie życia całej parafii, całej duszpasterstwa... Chodziło mi przecież o to, żeby do tego nowego kościoła ludzie chcieli przychodzić. I chca!

● Skoro mowa o duszpasterstwie...

— W parafii pracuje czterech księży — wikariuszy. Zajmują się oazami, scholą, kołami różańcowymi, ministrantami. Oczywiście

KIEDY MASZ KŁOPOT Z DZIECKIEM

Wielu swidniczan nie podejrzewa nawet istnienia w mieście Poradni Wychowawczo-Zawodowej. Może nie mieli kłopotów z dziećmi, może nie wiedzieli, że istnieje placówka, która się takimi problemami zajmuje. A tymczasem położona na uboczu, zajmująca kilka pokoiów w baraku przy ulicy Kolejowej — Poradnia Wychowawczo-Zawodowa — w listopadzie zakończyła dwudziestą piątą rok działania.

Obchodzona rocznica stała się powodem spotkania pracowników i okazją do wspomnień.

Zaczynaliśmy we trójkę — przypominają ANTONINA SZCZUKA. Kierownikiem był RYSZARD MISIAK a oprócz nas pracowała jeszcze GENOWEFA STAWIŃSKA. Powiatowa Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, bo tak się wtedy nazywała, zajmowała tylko jedno pomieszczenie przy ulicy Narutowicza w Lublinie. Szybko jednak przeniesiono nas do Swidnika i umieszczono na parterze hotelu 11, zamienionego później na szpital.

Teren działania mieliśmy ogromny, obejmujący placówki w Niemcach, Konopnicy, Wólce Lubelskiej, Glusku, Jastkowie, Łęcznej, Puchaczowie, Milejowie,

Piaskach i oczywiście w Swidniku.

Teraz każdy z pracowników specjalizuje się w jakiejś dziedzinie, a w tamtych czasach nasza trójka zajmowała się dosłownie wszystkim. Pomagaliśmy dzieciom w trudnościach w nauce, w wyborze zawodu. Badaliśmy dojrzałość szkolną przed rozpoczęciem nauki. Każdy z nas miał pod swoją opieką ponad 20 szkół. Bardzo dużo pracowaliśmy społecznie, na przykład prelekcje dla rodziców odbywały się w niedziele, a sobota była przecież normalnym dniem pracy.

Rok później, w 1968, funkcję kierownika Poradni objęła MARIA JARZYNA. Doszły również dwie pracownice — ELŻBIETA SEKOWSKA i DANUTA KADZIOLA. Oprócz pracy z dziećmi w Poradni przygotowywano także materiały dla nauczycieli, prowadzono dla nich szkolenia. W tych latach została nawiązana bardzo żywa współpraca z naszą gazetą. W starych rocznikach łatwo można znaleźć artykuły ANIELI ŁOJ, ANTONINY SZCZUKI, STANISŁAWA ŻURKA, który ze szczególną pasją zajmował się dziećmi z wadami wymowy. Jako pierwszy tworzył zespoły logopedyczne dla najja-

szych się dzieci.

Moje, ponad trzydziestoletnie obserwacje wskazują na zastraszającą szybki wzrost liczby dzieci z wadami wymowy — mówi ELŻBIETA SEKOWSKA. Bardzo dużo trafia do nas dzieci z wadami uwarunkowanymi genetycznie. W zależności od stopnia zaburzenia mowy terapia trwa nawet 2-3 lata. Wiele ćwiczeń dzieci wykonują w domu z rodzicami. Niestety w szkołach zaniebawano możliwość pomocy takim uczniom. Właściwie tylko w Szkole Podstawowej nr 3, ALEKSANDRA SWIDERSKA, pedagog szkolny prowadzi zespół logopedyczny. Względnie ekonomiczne nie pozwalają na organizowanie letnich pólkolonii, podczas których terapia logopedyczna objęci byli pacjenci Poradni.

Na początku lat siedemdziesiątych prowadziliśmy kompleksowe badania logopedyczne, poszerzone o konsultacje psychologiczne, pedagogiczne i lekarskie (foniatria, ortodonta, neurolog, laryngolog). Wyrazem uznania za działalność na rzecz dzieci z wadami wymowy było przyznanie naszej koleżance — EUGENII KARPŃSKIEJ (przez Towarzy-

(Dokończenie na str. 2)

Ogólnopolski strajk ostrzegawczy

Do kalendarium prowadzonego sporu zbiorowego pomiędzy KK NSZZ „S” a Rządem RP doszła nowa data, dzień 14 grudnia — dwugodzinny strajk ostrzegawczy w godzinach od 12.00 do 14.00.

Solidarność nie godząc się z ciągłym spadkiem płac realnych wezwala Rząd do realizacji postulatów związku:

- podniesienie płacy minimalnej
- zgodnego z tym, podniesienia bazy „popiwekowej”
- rekompensaty wzrostu cen
- gwarancji wypłat zasiłków mieszkaniowych
- uwzględnienia w projekcie budżetu '93 rekompensaty wzrostu kosztów utrzymania.

Lekceważenie sporów zbiorowych podejmowanych przez związek na mocy prawa jest lekceważeniem demokratycznych zasad rozstrzygania konfliktów drogą negocjacji. Strajk ma nakłonić Rząd RP do poważnych rozmów. Wprowadzone przez Radę Ministrów nierealne współczynniki wzrostu wynagrodzeń powiększają spadek dochodów i powodują dalsze zubożenie społeczeństwa.

Strajk ten w odróżnieniu od innych mających miejsce w różnych miejscach kraju był w zgodzie z prawem, a ponieważ dotyczył spraw ogólnokrajowych znalazł pełne poparcie wśród wielu zakładów pracy. O mocy siły argumentu jakim jest strajk decydują jak zawsze wielkie, kluczowe zakłady regionu i miasta. Dlatego też bardzo ważne było przeprowadzenie go w sposób zdecydowany i jednoznaczny. W WSK „PZL-Świdnik” S.A. o godzinie 12.00 zawył zakład.

we syreny. I choć była obawa, czy ząb czasu nie uszkodził tego typowego elementu sygnalizacyjnego, nie używanego od dłuższego czasu, to jednak były to obawy bezpodstawne. W samym momencie prawie cała załoga przedsiębiorstwa (oprócz pracujących w ruchu ciągłym) rozpoczęła strajk ostrzegawczy powstrzymując się od pracy. Przez zakładowy radiowęzeł wszyscy zostali zapoznani z postulatami oraz podłożem toczącego się od pół roku sporu zbiorowego z Rządem.

Zostały zamknięte wejścia do zakładu, na bramach pojawili się pracownicy z opaskami Solidarności na ramieniu. Strajk objął również spółki (do niedawna części zakładu, obecnie funkcjonujące samodzielnie) ale w sposób ograniczony. Przez cały okres strajku przez głośniki podawane były aktualne dane na temat ilości strajkujących pracowników na poszczególnych halach, wydziałach i działach.

Podsumowując, wypadłoby przedstawić liczbę osób biorących udział w strajku. Spływające informacje od przewodniczących wydziałowych, komisji związkowych, jak również wizyty członków K.M. NSZZ „S” na wydziałach potwierdzały pełne przyłączenie się do strajku. Czy strajkowali wszyscy? W dniu 14 grudnia w godzinach 12.00 — 14.00 niewiele osób twierdziło, że nie strajkuje. Ważne natomiast jest to, że wszyscy wykazali mądrość polityczną, odkładając spektakularne spory, gdy dobro większości Polaków jest zagrożone.

KTK

Emeryci i renciści popierają ogólnopolski strajk ostrzegawczy.

Dość lekceważenia społeczeństwa

Na walnym zebraniu Klubu Emerytów i Rencistów NSZZ „S” WSK „PZL-Świdnik” w dniu 2 grudnia br. postanowiono solidaryzować się ze strajkującymi pracownikami zakładu i zorganizować w dniu 14 grudnia przemarsz ulicami miasta od WSK pod Urząd Miejski.

O godz. 12-tej przed bramą główną WSK zebrało się ok. 100 emerytów i rencistów, członków NSZZ „S” byłych pracowników zakładu. Czekali na nich flagi Solidarności i transparenty o treści: „Solidarność”. O manifestacji zgodnie z obowiązującym prawem został powiadomiony burmistrz miasta Świdnika, który to zapewnił ochronę Policji na trasie przemarszu. Rozpoczęcie akcji strajkowej na WSK oznajmił dźwięk syren. Bramy zakładu zostały zamknięte.

Do manifestacji wyszedł przewodniczący KM NSZZ „S” Marian Król. W krótkich słowach określił cele strajku i podziękował za czynne poparcie akcji protestacyjnej, w sprawie dotyczącej wszystkich Polaków, w sprawie lekceważenia przez Rząd RP sporu zbiorowego na temat rekompensaty rosnących kosztów utrzymania i zubożenia społeczeństwa. W tym czasie wśród manifestantów był również przewodniczący Zarządu Regionu Środkowowschodniego NSZZ „S” Mieczysław Szczygieł.

Po uformowaniu się kolumny manifestacji całą ulicą Lotników Polskich podążają w kierunku miasta. W okolicach wiaduktu kolejowego przy stacji Świdnik Główny do pochodu zaczęli do-

łączać się inni emeryci, jak również i przypadkowi przechodnie solidaryzując się z manifestantami. Na trasie WSK — Urząd Miejski przygotowane i zabezpieczonej przez świdnicką Policję liczba uczestników przemarszu wzrosła do ok. 500 osób. Przy wejściu do Urzędu Miejskiego na manifestantów oczekiwali: Sekretarz miasta K. Sidor, przew. RM K. Zuk, D. Mańka, R. Sudół i M. Kalicki. Po eleganckim przywitaniu przedstawicieli emerytów, Barbara Maciejczyk przewodnicząca Klubu Emerytów i Rencistów NSZZ „S” WSK wręczyła petycję zawierającą min. protest przeciwko ciągłemu pogarszaniu warunków życiowych i obniżaniu rewaloryzacji rent i emerytur.

Po krótkim czasie do rozmawiających przybył burmistrz S. Skrok i z-ca burmistrza K. Domeński zapraszając chętnych do dyskusji do świetlicy w Urzędzie Miasta.

KTK

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA POGODNYCH I WESOŁYCH ŚWIĄT WSZYSTKIM CZŁONKOM I SYMPATYKOM „SOLIDARNOSCI” SKŁADA KOMISJA MIĘDZYAKŁADOWA NSZZ „SOLIDARNOSĆ”.

NIECH NARODZONE BOŻE DZIECIĄTKO PRZYNIESIE W NOWYM ROKU NASZEJ OJCZYZNIE SPOKÓJ I DOSTATEK, A NAM OSOBIŚCIE SPEŁNIENIA MARZENI ORAZ ZDROWIA I WSZELKIEJ POMYŚLNOŚCI.

URZĄD MIEJSKI PRACUJE W WIGILIE

W wigilię czwartek, 24 XII, ulegają zmianie godziny pracy Urzędu Miejskiego. W tym dniu Urząd czynny będzie w godz. od 7 do 15 (a nie — jak zwykle w czwartki — od 9 do 17).

cel

Skopał policjanta

W listopadowy wieczór oficer dyżurny Komendy Rejonowej Policji zaalarmowany został przez kobietę, do mieszkania której wdarł się pijany, mężczyzna. Mariusz K. zachowywał się agresywnie również po przybyciu policji. Kilkakrotnie kopnął jednego z policjantów, usiłował pobić drugiego.

Prokurator zastosował wobec Mariusza K. nadzór policyjny.

Samobójstwo w stawie

30 listopada w Fajslawicach zgłoszono zaginięcie 61-letniego mężczyzny. Prowadzone dochodzenie wykazało, że popełnił on samobójstwo topiąc się w pobliskim stawie. Z zeznań rodziny i świadków wynika, że przyczyną tak dramatycznego kroku były kłopoty w pracy i nadużywanie alkoholu.

Samochody

W

niebezpieczeństwie

Jak nas poinformowano w Komendzie Rejonowej Policji niepokojąco wzrasta ilość kradzieży samochodów. Tylko w ciągu minionego weekendu skradziono dwa pojazdy i włamano się do trzeciego.

5 grudnia lupem złodziei padł volkswagen golf i co się rzadko w takich przypadkach zdarza już następnego dnia wrócił do właściciela. Policji pomógł w poszukiwaniach szczęśliwy zbieg okoliczności. Otóż jeden z lubelskich policjantów znalazł właściciela i jego samochód. Powiadomiony droga służbowa o kradzieży pojazdu tej marki, widząc jadącego golfa, przypominającego samochód kolegi, ale na innych numerach rejestracyjnych, skierował oba fakty i... samochód odzyskał.

Tego samego dnia włamano się do mercedesa 300D. Straty oszacowano na 7 mln zł. Mniej szczęścia miał właściciel fiat 126p, skradzionego z parkingu przy ulicy 3 Maja. Samochód i sprawy nie zostały jeszcze odnalezieni.

Dwa dni później, świdnicki policjant, podczas rutynowej kontroli natrafił na skradzionego malucha. Ucieczka przestępcy została udaremniowana. W samochodzie znaleziono narzędzia, wskazujące na to, że skradziono go by dokonać włamania.

Początek grudnia był również szczęśliwy dla właściciela audi 80, odzyskał on swój samochód po 10 miesiącach poszukiwań. Audi odnaleziono w Warszawie.

p

Kiedy masz kłopot z dzieckiem

(Dokończenie ze str. 1)

stwu Przyjaciół Dziecka) tytułu „Przyjaciół Dziecka”.

W międzyczasie Poradnię przeniesiono do baru przy ulicy Kolejowej. W 1975 roku pracowało już w niej 9 osób. Wkrótce po reformie administracyjnej kraju zmniejszono teren działania PW-Z. Odpadły szkoły w Niemcach, Konopnicy, Głusku. Później w Jastkowie i Wólce Lubelskiej. Doszły natomiast Fajslawice. W połowie lat osiemdziesiątych zreorganizowano pracę Poradni, a jej dyrektorem została GRAŻYNA NAZAREWICZ. Objęła w posiadanie 7 salek, z których najmniejsze ledwo mieszczą terapeutę i dziecko. W tych pomieszczeniach pracuje 2 logopedów, 8 psychologów i 8 peda-

gogów, mających pod swą opieką szkoły i przedszkola w Melgwi, Piaskach, Milejowie, Fajslawicach, Trawninkach i Świdniku.

W wielu przypadkach pracownicy Poradni korzystają z pomocy świdnickich lekarzy, pp. KAZIMIERZY SZKAŁUBY, ELŻBIETY WILHELM, WOJCIECHA MACHA i ANDRZEJA ZYTKIEWICZA.

Uczestnicy spotkania rozmawiali również o przyszłości placówki. Najbardziej palącym jest większy lokal. Jednak obecne warunki finansowe nie pozwalają na realizację tych planów. Muszą one pozostać na razie w sferze marzeń.

Mamy nadzieję, że najbliższe czwarte wieczne pozwolą na ich realizację.

Termin wizyt można ustalać osobiście lub telefonicznie, tel. 122-53 codziennie w godzinach 7.30 — 15.00. Porady i terapia są bezpłatne. Nie są wymagane skierowania od lekarza.

Poradnia składa się z sześciu działów, z których pierwszy zajmuje się dziećmi w wieku przedszkolnym. Jest to przede wszystkim wychowywanie wszelkich zaburzeń rozwoju emocjonalnego i psychicznego oraz badanie przygotowania dzieci do rozpoczęcia nauki.

Pracownicy drugiego działu opiekują się uczniami młodszych klas szkół podstawowych (I — III). Pomagają w rozwiązywaniu trudności szkolnych, głównie czytania i pisania, wyrównywaniu zaburzeń rozwojowych.

Logopedzi, stanowiący kolejny dział, zajmują się dziećmi z wadami wymowy. Poradnia Wychowawczo-Zawodowa to także dział poradnictwa specjalnego, sprawujący opiekę nad dziećmi upośledzonymi umysłowo, niewidzącymi i niedosłyszącymi.

Grupa pracowników Poradni (2 psychologów i 2 pedagogów) zajmuje się starszymi uczniami szkół podstawowych i młodzieżą ze szkół średnich. Są to głównie problemy wychowawcze wieku dojrzewania.

W poradni jest też dział poradnictwa zawodowego, przygotowujący nauczycieli do pomocy uczniom w wyborze zawodu. Można również skorzystać z informatorów i poradników przy wyborze szkoły średniej lub kierunku studiów.

Od czterech lat istnieje zespół socjoterapii dla młodzieży z zaburzeniami zachowania i zagrożonej uzależnieniami.

Anna Konopka

Wieczór pięknych kobiet

Tak chyba w skrócie należałoby określić niedzielną wieczór w kinie „Lot”. Piękne dziewczyny na scenie, wytworne stroje, równie elegancka publiczność. Jako dopełnienie — nastrojowe, bardzo kobiece piosenki w wykonaniu Alicji Majowskiej — „Być kobietą”, „W miłości słowa nie nie znaczą”, „Odkrywamy miłość nieznana”, wiązanka słynnych tang z lat międzywojennych.

Licznie zebrana publiczność większym zainteresowaniem darzyła jednak modelki, toteż i ja poświęcę im większą część felietonu. Dziewczęta były uroczone, umalowane i przygotowane choreograficznie przez profesjonalistów. Ja jednak wołałam je we własnych układach choreograficznych zaprezentowanych w poprzednich pokazach. Były ciekawsze i bardziej dynamiczne. Tym razem futra, suknie wieczorowe, balowe prezentowane były dosyć monotonicznie — wyświecie, obrót, nóżka do przodu, rączki na biodra i dalej w odwrotnej kolejności.

A stroje? No cóż, mogły się podobać. Obejrzelismy dwie kolekcje — Grażyny Jasińskiej i Ewy Wyszynskiej-Kuś. Obie kolekcje były karnawałowo-sylwestrowe z przewagą najmodniejs-

zego, czarnego koloru. Dużo błyszczących, złotych dodatków, pióra, perły, wieczorowe rekawiczki.

Stroje E. Wyszynskiej-Kuś, romantyczne i fantazyjne, bardziej zapadły w serca kobiet. Oczami wyobraźni pewnie każda widziela się w malej, wydekoltowanej sukieneczce lub w długiej obcisłej, pomysłowo ozdobionej sukni.

Obie panie wykazały dużo inwencji i zrozumienia dla kobiecych słabości. Zaprojektowane przez nie suknie z pewnością stały się inspiracją dla wielu kobiet. Może nawet niektóre z pokazanych modeli zobaczymy w świdnickich sklepach.

Jako, że kobieta nie może zaistnieć na balu w samej tylko sukni, zaprezentowano nam kilka futer (sztucznych) autorstwa Grażyny Jasińskiej. Całością dopełniła pomysłowa dekoracja i oczywiście wybieg dla modelek.

Na zakończenie jedna uwaga do organizatorów — chętnie zobaczymy następne pokazy mody, ale pamiętajcie o... szatni. Oglądanie wspaniałych sukien, futer, fryzur i pilnowanie namkniętych płaszczy, kurtek bardzo kłóci się ze sobą i jest szalenie niewygodne. Podarujcie nam więcej luksusu.

dan

Co je czyje?

Nie od dziś wiadomo, że diabeł kryje się w szczegółach. Nasz dzisiejszy diabeł ukrył się w przepisach dzielących zadania pomiędzy administrację państwową i samorząd terytorialny. I chichocze...

A sprawa nie jest blaha. Chodzi o to, kto — zgodnie z przepisami — ma walczyć z bezrobociem, Wojewoda, czy burmistrz? Wójt, czy Rejonowe Biuro Pracy?

Napisałem w notatce o związku gmin, utworzonym w celu wspólnego przeciwdziałania bezrobociu przez najbardziej nie zagrożone gminy naszego województwa, że (cytuje): „Problem bezrobocia jest jednym z najważniejszych (o ile nie najważniejszych) zadaniem do rozwiązania przez samorządowe władze”. A tymczasem — niezależnie od podjętych przez te samorządy działań — zadaniem jest to nie samorządów, ale państwowej administracji.

Oddajmy więc cesarzowi, co cesarskie. Zadaniem jest to administracji. A troską — naszą wspólną.

cel

SANEPID WYJAŚNIA

W Świdniku nie ma epidemii

Od kilku tygodni krąży w mieście plotka o epidemii żółtaczki. Okazało się, że jak każda tego typu „informacja” jest ona nieco przesadzona, choć ziaro prawdy w niej tkwi.

Jak nas poinformowała p. Barbara Tłuczkiwicz z Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Lublinie, w naszym mieście od początku roku zachorowało na żółtaczkę 20 osób (7 dorosłych i 13 dzieci). Ostatnio zachorowania nasiliły się. Są to uczniowie różnych klas Szkoły Podstawowej nr 2. Stwierdzono tam 9 przypadków żółtaczki typu A, tzw. pokarmowej, będącej typowym przykładem zakażeń kontaktowych, spowodowanych brakiem higieny.

Trudno w tej chwili ustalić źródło zakażenia. Na pewno nie jest nim szkoła. Zgodnie z zaleceniami Sanepidu wzmocniono reżim sanitarny w salach lekcyjnych i stołówce szkolnej.

W grudniu zanotowano też pojedyncze przypadki żółtaczki w szkołach podstawowych nr 1, 3 i 4. Zdaniem p. B. Tłuczkiwicz liczba chorych na żółtaczkę w Świdniku nie pozwala na określenie jej mianem epidemii.

d

Świąteczny prezent siatkarzy

Miła gwiazdkowa niespodzianka sprawili swoim sympatykom siatkarze Avii wygrywając z liderem tabeli — Stalą Słocznia Szczecin. Niedzielną victorią nad renomowanym zespołem ze Szczecina 3:2 (11, — 13, — 2, 14, 11) jest dobrym prognostykiem na Nowy Rok.

Za dwa tygodnie dalszy ciąg rozgrywek ligowych, w których świdniczanin zagrają w własnym boisku z Baildonem, Legią i Hutnikiem. Wszystkie te zespoły „celują” w czwarte, bezpieczne miejsce w tabeli. Najwięcej szans na sukces w tym wciśniętym będzie Avia. Pod jednym oczywistym warunkiem. Żółtoniebiescy muszą odnieść w tych spotkaniach — podwójne zwycięstwa. Czy tak się jednak stanie? Miejmy nadzieję, że podopiecznym trenera JANUSZA KOSTRZEWEY uda się ta sztukę. Po zwycięstwie nad liderem tabeli świdniczanin udowodnił, że potrafi być — różni dla najlepszych.

A skoro tak, drzyjcie kolejni rywale! W Świdniku łatwo się nie wygrywa!

K-K

Podziękowania dla lekarzy

W siedzibie Oddziału Związku Inwalidów Wojennych RP odbyło się 10 grudnia plenarne posiedzenie Zarządu Oddziału. Było to posiedzenie dość szczególne, jako że brały w nim udział trzy osoby, które zaskarbiły sobie specjalną wdzięczność i sympatię inwalidów wojennych ze Świdnika. Byli to lekarze — państwo Teresa Dyzma, Wanda Domańska i Marian Dobrowolski poświęcający swój czas i wiedzę opiece nad członkami kół. Dziękując za bezinteresowny wysiłek prezesa zarządu oddziału p. Mikołaj Kaczyński podkreślał serdeczność z jaką spotykają się inwalidzi odwiedzający ich gabinety.

Czwartkowe spotkanie miało i swoje drugie oblicze. Należąc do pokolenia zdecydowanie powojennego z ciekawością słuchałem opowieści o latach międzywojennych obowiązującej wówczas hierarchii wartości, kryteriach oceny człowieka. Zastanawiałem się, czy te wartości da się odbudować w ludziach moich czasów, czy drzemające w nas komunistyczne stereotypy myślenia da się wykorzystać komunistycznymi metodami stosowanymi przez wielu uzdrawiaczy. Siedzący przede mną ludzie byli uosobieniem dwustuletniej tradycji rozpoczętej gdzieś za Kościuszką i na dobrą sprawę trwającej do dziś. Nachodziło mnie pytanie, czy lepiej poświęcić część swojej tożsamości i pójść drogą przetartą przez innych czy brnąć polską koleiną wiodącą nie bardzo wiadomo którędy i dokąd.

ale własną. Jaka właściwie jest ta tożsamość? Czy przed wybraniem się w dalszą drogę nie czeka nas jeszcze wielka rewolucja świadomości? Czy wrzesci moje pokolenie jest przegotowane, żeby podjąć wyzwanie tej rewolucji, dorobić się własnych, autorytetów, może innych niż te z 18, 56, 80 a nawet 89 roku?...

Pan Kaczyński skierował również słowa podziękowania pod adresem szefa Rejonowej Komendy Policji nkom. Józefa Zygmontczuka zawsze chętnie używającego miejsca w policyjnych radiowozach dla podwieżenia członków zarządu pragnących odwiedzić swoich podopiecznych mieszkających w osmiu gminach oddziału związku będących jednocześnie obszarem policyjnego rejonu.

Na koniec informacja dla inwalidów wojennych bądź kombatanów pragnących skorzystać z pomocy lekarskiej bez konieczności odstawiania w długich kolejkach.

Dr Marian Dobrowolski przyjmuje inwalidów i kombatanów w piątki w godzinach 15.00 — 17.00 w Zakładowej Przychodni Zdrowia ZOZ mieszczącej się w nowym szpitalu.

Dr Wanda Domańska przyjmuje w tej samej przychodni w poniedziałki w godzinach 15.00 — 17.00.

Dr Teresa Dyzma przyjmuje w przychodni przy ulicy Sławińskiego 29 we wtorki, w godzinach 13.00 — 15.00.

J. Mazur

Przed jubileuszem 20-lecia

Na rozdrożu

Oddawanie krwi, zwłaszcza honorowe nie należy do modnych obecnie zajęć. Zaszczepów wielkich nie przynosi, a i wdzięczność wśród ludzi znajduje dopiero wtedy, kiedy ich samych dotknie nieszczęście i potrzebują cudzej ofiarności. Dlatego dobrze że mimo coraz większych kłopotów finansowych trwa zwyczaj organizowania corocznych spotkań świdnickich krwiodawców. Tegoroczne odbyło się 9 grudnia w barze hotelu „Sezam” z udziałem burmistrza miasta, p. Stanisława Skroka, zastępcy dyrektora naczelnego WSK do spraw technicznych p. Andrzeja Kukieli i szefa Rejonowej Komendy Policji (w której działa jeden z najprężniejszych klubów krwiodawców) nkom. Józefa Zygmontczuka.

W rozmowach prowadzonych za okolicznościowym stołem dał się wyczuć ton zniechęcenia. Wiadomo, że wszędzie, gdzie się nie obejrzy brakuje pieniędzy, więc i tego rodzaju spotkania odbywają się z mniejszą pompą. Myślę jednak, że przyczyną owego zniechęcenia są głębsze. Każda działalność, prowadzona z najbardziej nawet altruistycznych pobudek potrzebuje dostrzeżenia, docenienia, słowa podziękowania. W stosunku do honorowych dawców krwi tej naszej odrobiny wdzięczności chyba ostatnio zabrakło.

Bardzo niewielu młodych ludzi decyduje się na systematyczne oddawanie krwi. Starszych trzyma jeszcze ambicja dotarcia do magicznej liczby 25 litrów. Do tego dochodzą podyktowane troską o zdrowie krwiodawców i tych, którzy później ich krew otrzymają dodatkowe wymagania w postaci wyników corocznych przesiewień i badań moczu. Zastrzeżone reżimy sanitarne uniemożliwiają również organizację akcji krwiodawstwa w przychodni zakładowej WSK. Podobne akcje dawały każdego roku efekt w postaci wielu litrów najcenniejszego leku i swoistego współzawodnictwa między wydziałami o to, kto odda najwięcej krwi. Ale wszystko to już historia.

Nie jest wykluczone, że do historii przejdzie wkrótce sam ruch honorowego krwiodawstwa. Póki co jednak dawcy krwi z WSK szykują się do jubileuszu

26-lecia istnienia swojego klubu. Już teraz przygotowują się do szturm na siedzibę władz, instytucji i organizacji zakładowych z prośbą o pomoc, by jubileusz ten nie pozostał niezauważony.

Jedną z tradycji, które przetrwały jest również zwyczaj nagradzania najwytrwalszych krwiodawców odznaczeniami państwowymi i pecekwskimi. Specjalnym wyróżnieniem w postaci Krystalowego Serca przyznawanego przez Kapitułę PCK uhonorowany został pan EDWIN WIECZERZAK — osoba bardzo zasłużona dla honorowego krwiodawstwa, właściwie legenda tego ruchu w WSK. Pan ZDZISŁAW KARDASIEWICZ, który oddał 25 litrów krwi otrzymał odznaczenie Zasłużonego dla Zdrowia Narodu.

Decyzją Prezydenta Rzeczypospolitej Polski z 16 września po oddaniu 20 litrów krwi przyznano Złote Krzyże Zasługi panom: JANOWI HOŁOJOWI JERZEMU KARPACZOWI, HENRYKOWI OKONIOWI, MIROSLAWOWI SIEMBABOWI, JERZEMU WOŹNIAKOWI.

Uchwałą Zarządu Głównego PCK Odznaką Honorową IV stopnia wyróżniony został p. JERZY SZKOLUT za wieloletnie propagowanie honorowego krwiodawstwa.

Odznaczenia I stopnia Zasłużony Honorowy Dawca Krwi po oddaniu 18 litrów krwi otrzymali panowie: MAREK CIOCZEK,

Historia budowy kościoła

Starania o budowę drugiego kościoła w Świdniku rozpoczęły się zaraz po rozpoczęciu budowy pierwszego — „okrągłego” — pod koniec lat siedemdziesiątych. Decydujące znaczenie dla ich ostatecznego powodzenia miał pierwszy (wielki) okres „Solidarności” 1980-1981. Jeszcze w 1980 roku wojewódzkie władze wyraziły wstępną zgodę na wybudowanie kilku nowych kościołów w diecezji lubelskiej. Między innymi w Świdniku.

Ostatecznie decyzja polityczna o zezwoleniu na budowę drugiego kościoła w Świdniku zapadła jednak dopiero w czasie trwania stanu wojennego, w 1982 roku. Od tego momentu, aż do czerwca 1983 roku trwały negocjacje, dotyczące lokalizacji świątyni. Oweczesne władze starały się „wypchnąć ją” poza miasto. Również mało zdecydowana postawa kurii, która była skłonna przystać na zbudowanie kościoła na Adampolu sprawiła, że dopiero 3.06.1983 roku doszło do poświęcenia placu pod budowę we wschodniej części miasta.

Rozpoczęło się odprawianie Mszy na wolnym powietrzu i równocześnie, oczywiście bez zezwolenia, budowanie prowizorycznej kaplicy. Prace nad jej budową zakończone zostały dopiero w czerwcu 1986 roku i już od 14.06 rozpoczęto wykopy. Kiedy tylko „wyszły z ziemi” fundamenty kościoła, 14.05.1987 roku rozpoczęła się — znowu bez zezwolenia — budowa plebanii. Zgodnie z założeniami miała ona stać się ważnym ośrodkiem niezależnego życia społecznego na

szego miasta, stąd — mimo „szepanej”, negatywnej propagandy, w tym okresie prace budowlane koncentrowały się głównie przy budowie plebanii. Do końca 1987 roku ukończono jej budowę w stanie surowym i w 1988 roku powrócono do murowania kościoła.

Bryła budowli powstała w stosunkowo krótkim czasie, sporo czasu zajmowały jednak prace wykończeniowe. W między czasie, w 1989 roku wybudowana została wieża dzwonnicy i zawieszono na niej dzwon ważący 450 kg o nazwie Chrystus Odkupiciel, wykonany w słynnej przemysłowej odlewni braci Felczyskich.

20 grudnia 1992 roku — dzień konsekracji kościoła pod wezwaniem Chrystusa Odkupiciela, to uświęcenie dzieła budowy, ukoronowanie pracy i wysiłku całej parafii. Dla samego kościoła dzieł ten jest tak samo ważny, jak chrzest dla każdego z nas. Jest to poświęcenie świątyni na chwałę Boga i przeznaczenie jej na miejsce oddawania mu cześci po wsze czasy.

oprac.: cel

O d zewnątrz ceglane mury i przysadzista bryła kościoła p.w. Chrystusa Odkupiciela mogą budzić różne wrażenia. Nie muszą się wcale podobać. Wprawdzie sama budowla ożywna jest trochę przez wysmukłą wieżę dzwonnicy, ale i jej z kolei kształt jakieś takie zbytnie podobieństwo wykazuje do kolumny... Zdecydowanie najbardziej korzystnie budowla prezentuje się nocą. Dwa delikatnie rozjaśniane mroki kontury krzyża. Zawieszone gdzieś na uboczu trochę, na skrajku miasta... Nie narzucają się, ale są obecne.

Jednak właściwy sens takiej, a nie innej idei architektonicznej autorstwa Ewy i Józefa Kołodziejczyków, odnaleźć można dopiero po przekroczeniu progu świątyni. Nieoczekiwanie intymne, składające do medytacji i rozmyślań miejsce. Neutralna biel ścian, półmrok, subtelnie rozjaśniony przez świetliki tylko nad ołtarzem, który dzięki temu — bez żadnych innych zabiegów — musi stać punktem centralnym, punktem dościsła... Uciekający gdzieś w górę, poszarpany cierniami krzyż...

— Bardzo zależało mi na tym, żeby było to miejsce kameralne, sprzyjające bezpośredniemu, najbardziej osobistemu kontaktowi człowieka z Bogiem. Żeby każdy, nawet ten, który dzisiaj uważa siebie za niewierzącego, poczuł, że ten kościół jest jego domem. Dlatego nie ma tu żadnych takich „rozważań”. Ten kościół nie będzie kapla złotem... Tylko wzdłuż chóru umieszczone zostanie przedstawienie Drogi Krzyżowej autorstwa Jerzego Tomaszka. I na bocznych ścianach płaskorzeźby... — mówi proboszcz Andrzej Kniat.

(jmr)

Cezary Listowski



Najserdeczniejsze życzenia
z okazji świąt
Bożego Narodzenia
pomyślności w nowym 1993 roku

życzy swoim Czytelnikom Redakcja

Z Edytą Jamróz

ROZMOWA PO ROKU

— Jak się pani czuje z perspektywą półtorarocznego okresu jakiego upłynął od zdobycia tytułu IV Wicemistrz Polski za 1991 rok?

Praktycznie zapominałam już o tamtych wyborach. Była to wspaniała przygoda, która szybko przeminęła. Ale pomimo półtorarocznego upływu czasu miło wracam wspomnieniami do tamtych wakacji.

— Została pani także „Miss Foto”. Czy w związku z tym zwróciła pani jakieś piękne miejsca, zawarła atrakcyjne kontrakty, poznała interesujących ludzi?

Wszystkie umowy zawierane są podczas balu, który odbywa się w pierwszą noc po wyborach. Żadna z dziewczyn, która znalazła się w finałowej piątce, nie dostała konkretnej umowy. Została zawarte „kontrakty słowne”, czyli które nie doszły do skutku. Ja otrzymałam roczną ofertę od firmy Budimex. Pracowałam tam jako jedna z dziewczyni modelek. To przedsiębiorstwo nazwało 6 sklepów na terenie Polski moim imieniem. Przeżyłam cudowne wakacje.

Brałam udział na targach w Niemczech, Rosji, Czechosłowacji, Bułgarii i Grecji. Po wakacjach zaczął się rok akademicki na KUL-u. Zaraz po rozpoczęciu

nauki zaproponowano mi wzięcie udziału w wyborach „MISS ŚWIATA STUDENTEK '91” w Seulu.

Ofertę tę otrzymałam ze względu na to, że byłam jedną studentką wśród finalistek „MISS POLONIA '91”. I tak też się stało. Pojechałam do Korei. Wybory odbyły się 5 X 1992 r. Była to kolejna niepowtarzalna przygoda.

— Czy te wybory wpłynęły na pani charakter, na jakąś jego cechę?

Uważam, że tak. Kiedyś byłam bardzo nieśmiała, bałam się wejść do wykwinnej restauracji, ponieważ wydawało mi się, że zrobię coś, co zwróci na mnie uwagę wszystkich. Zachowywałam się tak jak gdybym nie umiała jeść. Teraz jestem śmiała, bardziej luzna.

— Czy udział w „Miss Polonia '91” pomógł pani w jej planach na przyszłość?

Nigdy nie zastanawiałam się nad moimi planami, bo uważam, że te nigdy się nie spełniają.

Na pewno będę pracowała jako modelka w firmie „Budimex”, ponieważ ta firma przedłużyła mi o rok kontrakt. Chce też zagrać w filmie Marcina Piwowskiego. Niedawno brałam udział

w sesji zdjęciowej i otrzymałam angaż. Myślę, że będzie to kolejna pasjonująca przygoda.

Rozmawiał: Robert Kozicki



Wszystko zaczęło się od snu, który Pani Maria mi opowiedziała. ale — broń Boże! — zakazała o nim pisać. Sen ja tak zafascynował, że zaprzęgnęła go namalować. Od tego czasu minęło dziesięć lat i tysiąc obrazów. Tego najważniejszego jeszcze nie zaczęła. Boi się, że namaluje karykaturę.

Pani Maria rozkłada na podłodze swoje obrazy. Pod ręką ko-

Została bez pracy, zasiłku... właściwie ma tylko malowanie. Może to i lepiej, że nie może sobie pozwolić na kupno materiałów. Ręka na papierze jest śmieszniejsza niż na płótnie. Obrazy powstają w pięć minut, góra w piętnaście. Czasem przychodzi wieczór pomysłowy. Wtedy maluje aż do skończenia papieru.

Abstrakcje grupują się tematycznie. Ta żyła rozczłonkowująca

Namalować sen

lorowe kwiaty i zioła o rozmaitych, zatartych konturach, jak spod pędzla impresjonisty. Na jednym z kwiatów przysiadł wykaligrafowany motyl. Obok dziewczynka z gołąbkami w dłoniach przerysowana z pocztówki. Jest tak dziewczęca i pragnie pokoju — mówi Pani Maria.

Jest i abstrakcja. Widzę wyraźnie pole i niebo, trochę ponure, jak przed burzą. Pani Maria mówi, że to rzeczywiście pole, ale bioenergetyczne. Dzwonne, jak te dwa skojarzenia spotkały się w obrazie Pani Marii niczym w swoim źródłosłowie.

Pani Maria odczuwa brak nauzciciela. Kogoś, kto by pokierował, wyjaśnił wątpliwości. Mówi, że czasem wymyśli coś nowego — jakąś technikę, nowe spojrzenie. Ale nikogo to nie obchodzi — mają swoje sprawy.

Zaczynała od malowania w oleju. Teraz ją na to nie stać.

ca się w szpon i wrzynająca w materię, to „Cierpienie”. Obok — „Promieniowanie” — przenikające się, nakładające, współistniejące kształty. Dalej „Drzewo”. Kilkanaście różnych spojrzeń, a przecież każdy wie, że to drzewo.

Do redakcji Pani Maria Mirosław przysłała, żeby zaprosić do obejrzenia swojej stałej ekspozycji w Osiedlowym Domu Kultury przy Kruczkowskiej. Są tam obrazy do kupienia i tylko do oglądania. Latą nauki malowania nie przyniosły pieniędzy, ale daly satysfakcję — wyróżnienie na Ogólnopolskich Prezentacjach RSTK, na konkursach w Lublinie i Świdniku. Największym wyróżnieniem byłaby chyba jednak dla Pani Marii myśl, że już czas zacząć... Czy powstanie na śmiałym papierze, czy ostrożnym płótnie? Czy powstanie?

Jan Mazur

KAZIK: „Mamy za sobą balast 40 lat życia w systemie komunistycznym, który wielu ludzi zupełnie nie nauczył dbania o własne jutro. I o tych ludzi najbardziej się boję...”

Naszemu rozmówcą jest Kazimierz Staszewski — wokalista legendarnego zespołu „Kult”, a równocześnie lider najsłynniejszej polskiej grupy rapowej „Kazik”. Jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci polskiej sceny muzycznej.

● Co sądzisz o dzisiejszym koncercie?

— Było trochę mało ludzi...

● Czy jesteś przywykły do grania w takich małych salach?

— Ja w ogóle wolę małe sale. Jakie zespoły rapowe najbardziej ci odpowiadają?

— Taką mniej popową stroną rapu: Ice Cube, Ice — T, Public Enemy, wcześnie NWA jeszcze z Ice — Cube'em.

● Rap w wydaniu amerykańskim jest trochę inny niż twój: jest pełen agresji, seksu. Jaki masz stosunek do tego?

— No wiesz, jest to taka historia, że ja właściwie tego co robię nie nazywam rapem. Dlatego, że tamten rap to nie jest jakiś tam rodzaj muzyki, lecz ma do spełnienia pewne zadanie, wyraża ideologię, która szczerze mówiąc mi nie odpowiada. Tam dosyć wyraźnie gloryfikują odpowiedź przemocą na przemoc. Bardziej jest to wszystko zbliżone chociażby do Malcolm X niż do Lutra Kinga.

A poza tym, problemy społeczne, które bolą ich, są jak gdyby trochę inne, niż te tutaj. Właściwie ta muzyka, którą zrobiłem na pierwszej płycie, ma tylko — że się tak wyrażę — technologiczne wspólne korzenie z rapem. Jest to podobny rodzaj produkcji muzyki i rapem nie lubię tego nazywać.

● Jeszcze kilka lat temu Kult był zespołem tworzącym głównie dla tzw. młodzieży niezależnej. Teraz na twoje koncerty przychodzi 14, 15 letnie dzieciaki, dla których jesteś po prostu jedną z polskich gwiazd.

— Scena niezależna... Ja teraz nie postrzegam czegoś takiego jak scena zależna czy niezależna. Jeżeli śpiewasz o tym, o czym chcesz śpiewać, to jesteś niezależny. Ja się czuję niezależny! Mnie nikt nie każe pisać tego, czy tamtego i wszystko jest „z serca mojego a nie z mózgu kogoś innego”.

● Należysz do pokolenia, które zapoczątkowało rewolucję punkową w Polsce. Większość z tamtych ludzi porzuciła swój bunt, a ich miejsce zajęła następna generacja „młodych gniewnych”. Jaki jest twój stosunek do tego przemijania?

— Ja tego co robię nie postrzegam w kategoriach buntu. Od początku, to co robiłem było jakimś tam diagnozowaniem sytuacji w jakiej żyję, próbą zwrócenia uwagi słuchaczy na rzeczy, które moim zdaniem są niezdrowe, które są jakimś minusem. W momencie kiedy dostrzegasz minus w tym co cię otacza, to jest pierwszy krok do jego zmiany na plus.

● Jakże dzisiaj jest twoje zdanie na temat buntu młodzieżowego lat 80?

— Muzyka jest gatunkiem sztuki, a wiadomo, że sztuka przez każdą osobę postrzegana jest bardzo subiektywnie. Jeżeli to komuś pomogło w jakimś samowyzwoleniu, to bardzo dobrze. Na pewno był to jakiś przezwrot estetyczny, jakaś nowa wartość w kulturze się zrobiła. Paru ludzi dzięki temu nie stoi dziś w bramie, lecz robi coś konkretnego.

● Wiele komentarzy wywołał twój występ w Sopocie. Co ty możesz powiedzieć na ten temat?

— To była historia tego rodzaju, że zadzwonił do mnie facet — dyrektor organizacyjny tego całego balaganu w Operze Leśnej — z wiadomością o tym, że jakieś jury uznało, że moja płyta „Spalam się” jest najlepszą płytą roku. Zaproponował mi występ. Ja, jeszcze po zeszłorocznym występie w Sopocie, na który się zbyt pochopnie zgodziłem, obiecywałem sobie, że moja noga tam więcej nie zostanie. Ale później stwierdziłem, że będzie nagranie na żywo, że będzie transmisja i jest szansa by puścić w świadomość społeczną takie dwie piosenki, które mimo nie istnienia urzędu cenzury, są cenzurowane. Chodziło tu o piosenkę „Jeszcze Polska”, która ma zakaz transmisji praktycznie w każdej roz-

głośni radiowej i w tylko co poniekąd można ją puszczać nocą, raz na jakiś czas. A także piosenka „100 milionów”, która była dwukrotnie zarejestrowana przez TV, ale ktoś podjął decyzję, że nie może być emitowana. Stwierdziłem, że jak jest okazja, że jak jest transmisja na żywo, to trzeba to pokazać. No i to właściwie tyle. Chciałem, żeby te piosenki ludzie usłyszeli. Uważam, że wrzawa, jaka z tego wynikała, jest niezdrowa.

● Czy miałeś jakieś rozmowy z „czynnikiemami” na ten temat?

— Tylko w TV widziałem wypowiedź pana Wałęsy, która mnie rozbawiła. Bo ta piosenka nie jest o tym, o czym on mówił. Ta piosenka nie jest oczywiście o tym, żeby Wałęsa

Peppers, Faith No More i Metallicę a szczególnie ostatnie płyty tych zespołów.

● Do jakiej muzyki najchętniej wracasz?

— Na pewno Beatlesi, Psychodelic, Led Zeppelin a teraz zacząłem słuchać Breakout.

● Twój stosunek do piractwa?

— Mój stosunek do piractwa może być tylko negatywny, ponieważ ci ludzie okradają mnie na każdym kroku.

● Czy nie uważasz, że wzbo-gacają oni w jakiś sposób, nasz rynek muzyczny? Chodzi mi tu głównie o tytuły zagraniczne.

— Wiesz, to jest tak jak np. koleś ukradnie ze sklepu telewizor a potem sprzeda go tobie za pół ceny, ponieważ ciebie nie stać na telewizor kupiony

rzy de facto stanowią dla nich mięso armatnie.

● Co w otaczającej cię rzeczywistości drażni cię najbardziej?

— Sytuacja w kraju w jakim żyjemy. Przechodzenie z jednego systemu do drugiego jest bolesne (przykład USA w latach 30). „Mamy za sobą balast 40 lat życia w systemie komunistycznym, który wielu ludzi zupełnie nie nauczył dbania o własne jutro. I o tych ludzi najbardziej się boję”.

● Coraz ważniejszym problemem wydaje się być wzmożona aktywność grup neonazistowskich. Czy odczuwasz to jako zagrożenie, czy też uważasz, że to przemienie?

— Podejrzewam, że na razie nie przemienie, że to będzie, chyba, narastalo. Sytuacja jest dość ciężka i różni ludzie próbują sobie znaleźć jakieś wytłumaczenie, jakieś światło w tunelu. Ideologia nazistowska jest dość prosta, łatwo trafiająca na grunt sfrustrowanych ludzi. Wiadomo kto jest winien, wiadomo jak temu zaradzić. Podejrzewam, że przez jakiś czas będzie trafiała na podatny grunt.

● Dużo palisz?

— No, niestety trochę pale.

● Probujesz się z tym uporać?

— Bywały okresy, że przez cztery lata kiedyś nie paliłem, rzuciłem palenie. Teraz, ostatnio, prawie rok nie paliłem.

● Twoje plany na przyszłość?

— Mam dużo planów. Druga moja płyta pod szyldem „Kazik”, trzecia płyta pod szyldem „Kazik”, która będzie płytą koncertową, program Kultu z piosenkami mego ojca. Przydałaby się także jakaś autorska płyta Kultu. Od dwóch lat już nie nie zrealizowałem.

● Jaki masz stosunek do wywiadów? Dużo ich udzielasz?

— Mam stosunek trochę negatywny, bo — niestety — „wywiadowcy” w 90 proc. pytają o to samo. Powtarzam więc różne rzeczy i to jest trochę nudne.

● Co najczęściej powtarzasz?

— Pytają o ojca, piractwo fotograficzne, o film, do którego muzykę zrobiliśmy („Czarne słonica” red.), itd.

● Czy chciałbyś przekazać naszym czytelnikom coś, o co cię nie zapytano?

— To wszystko o czym chcę powiedzieć — zawsze to powtarzam — jest w moich piosenkach...

Rozmawiał:

Piotr Jaworski
Ireneusz Piekarski

To „co chcę powiedzieć jest w moich piosenkach

oddadł mi 100 mln. Rozumiem, że było to jakieś hasło, które miało poszerzyć elektorat wyborczy. Ale są ludzie, którzy wzięli to dosłownie i to o nich właśnie ta piosenka.

● Jak wygląda strona finansowa życia muzyka w Polsce?

— Ja jestem w sytuacji o tyle dobrej i szczęśliwej, że robię to co lubię i mogę się z tego utrzymać. Nie muszę się imać innych zajęć, aby utrzymać swoją rodzinę. To jest bardzo duży komfort. Ale jestem pod tym względem wyjątkiem. Wielu moich kolegów — muzyków musi robić coś dodatkowo, żeby się jakoś utrzymać. No wiesz, nie są to jakieś tam kokosy straszne. Ale na jedzenie starczy i jeszcze czasem na kino.

● Co sądzisz o polskiej scenie muzycznej?

— Parę kapel mi się podoba, przede wszystkim Armia, Proletariat. Bardzo mi się spodobał ten sposób śpiewania i robienia piosenek jaki wymyśliły Elektryczne Gitary. Jest jeszcze parę rzeczy, które nie są znane, np. zespół Zaczer z Warszawy oraz rapowy zespół Kobas z Białegostoku.

● A zespoły zagraniczne?

— Cały czas uważam, że najlepszy zespół na świecie to PIL, słucham także bardzo dużo rapu, a poza tym Red Hot Chili

w sklepie. Moim zdaniem to nie usprawiedliwia tego włamania do sklepu. Myślę, że prawo jest fatalne. Ja już wyrosłem z okresu, kiedy wniłem piratów. Okazja czyni złodzieja. Jeżeli on to może wziąć, jeżeli prawo mu na to zezwala, to czego ma tego nie robić? A prawo zezwala na okradanie twórców, producentów, wszystkich, którzy wkładają jakąś tam pracę w muzykę i usiłują być uczciwi. Poza tym, jestem przekonany, że firmy pirackie są już takimi potentatami, że w Sejmie ktoś komuś po prostu płaci, żeby ta ustawa o prawach autorskich i prawach pośredniczących była wstrzymywana. Bo to się tam już trzeci rok przewala i jakoś się nie mogą za to zabrać.

● Które z ostatnich obejrzanych filmów przypadły ci do gustu?

— Konkretnie jeden film. Film francuski o wojnie w Wietnamie, który obejrzałem w ramach ostatniego festiwalu filmowego w Warszawie. Totalnie wstrząsnęło. Utwierdziłem się w pewnych moich poglądach na temat różnych pojęć typu „patriotyzm”, „obrona ojczyzny”, które mogą być w bardzo cyniczny sposób wykorzystywane przez polityków, sprzedawane ludziom, któ-

Jeszcze pożyjemy

„Spójrz jak życie przed tobą ucieka,
jak godziny cichaczem ci kradnie,
jak szafuje pustymi losami.
Dobrze wie, na kogo wypadnie...”

Po „Starym Dobrym Małżeństwie”, po Michale Bajorze, w Świdniku wystąpiła — jak napisałem w notce zapowiadającej jej przyjazd — „ukochana przez wszystkich miłośników muzyki country” grupa BABSZTYL. Wystąpiła ta grupa w Świdniku i... nie wystąpiła zarazem. A stało się tak dlatego, że na zaplanowany przez organizatorów termin koncertu nałożył się (niestety) inny termin. Dobroczynnego balu, przygotowanego przez Komitet SOS.

„A tyle jeszcze chciałbyś zobaczyć,
tyle nocy majowych wzruszyć...”

I zagrała w Świdniku grupa „Babsztyl”. Zaspiewała grupa „Babsztyl” i zagrała... do tańca zaproszonym uczestnikom wspomnianego balu. Niektóre ze swoich utworów, wyśpiewywanych już w niepowtarzalnej scenarii olsztyńskiego zamku, czy w niepowtarzalnej atmosferze festiwalu w Mrągowie. Bo przecież nie wszystkie...

„A tyle jeszcze chciałbyś zapomnieć,
tyle listów do kosza wrzucić,
tyle dziewczyn w sobie rozkochać,
tyle dżbanów do końca osuszyć...”

— Nam jest wszystko jedno. Gramy na koncertach, potrafimy zagrać i na balu. To nawet fajne, taka odmiana... — mówili mi członkowie zespołu. Mówili. Ale czy do końca naprawdę właśnie tak myśleli?

Organizatorzy nie mieli powodów do narzekań. Tym razem, chyba wyjątkowo, na występie nie stracili. A nikt nie może mieć pewności ile trzeba byłoby dopłacić, gdyby koncert odbywał się „za biletami” w przestronnej hali kina „Lot”.

Artyści mówili mi jeszcze o swoim nowym programie, o zmianie stylu, repertuaru, scenicznego „image’u”. Ale w takiej sytuacji nie ma chyba sensu drażnienie tych miłośników „Babsztyla” ze Świdnika, którzy nie mogli go usłyszeć i zobaczyć. Chociaż niech może jednak nie tracą nadziei... Bo:

„Jeszcze pożyjemy, wypić wypijemy...”

(Wszystkie cytaty pochodzą z przepięknej ballady Leszka Makowieckiego, śpiewanej przez „Babsztyla” z muzyką Zbyszka Hofmana).

OSET



Świdnik w życiu Anny Kamińskiej

TYLKO TU BYŁA PRAWDZIWA ZIMA

„Położyłam się przed nowym rokiem. Ale nie mogłam zasnąć. Wstałam więc i dopełniłam naszego tradycyjnego obrzędu domowego: spaliłam zapisane na karteczce życzenia. Dziwne, że jest to znowu to samo życzenie, co w latach mojej wczesnej młodości, gdyśmy spały życzenia w ŚWIDNIKU, w czasie okupacji i jeszcze potem, gdy Świdnik był naszym wspólnym domem rodzinnym”.

Słowa te napisała ANNA KAMIŃSKA w „Dzienniku” pod datą: „1 stycznia, godz. 0.06” 1976 roku.

Kamińska jest autorką kilku-dziesięciu książek, np. wierszy — „Wychowanie” (1949), „Drugie szczęście Hioba” (1963), szkiców literackich — „Jeden z grzechów pięknych” (1967, o poezji), powieści dla młodzieży — „W Nieparzu i gdzie indziej” (1967) i innych. Należy do kanonu literatury polskiej; jej wiersze znalazły się w podręcznikach szkolnych — szkoły podstawowej i średniej. Urodziła się w 1920 r. w Krasnymstawie, zmarła w 1986 r. w Warszawie. Jej losy na stałe związały się wszakże ze Świdnikiem. Motywy Świdnika i okolic pojawiają się w twórczości pisarki — wierszach, opowiadaniach, dzienniku.

O związku Kamińskiej ze Świdnikiem wspominała jej siostra, MARIA WOŁOSZYŃSKA, do dziś mieszkanka naszego miasta. Poetka była tu (Adamów, Nadleśnictwo Świdnik, Kazimierzówka, okolice) często przed wojną u rodziny. Podczas okupacji mieszkająca z najbliższą rodziną, zmuszoną opuścić Lublin. Wówczas nie tylko sama się kształciła, lecz udzielała konspiracyjnych lekcji. Pracowała w Nadleśnictwie. Po wojnie była wielokrotnie u siostry i dalszej rodziny. Tu powstały jej niektóre wiersze, tu także — tak! — malowała.

Świdnik, Nadleśnictwo... — to miejsca, które głęboko wbiły się w pamięć i podświadomość Kamińskiej. Miejsca te funkcjonowały w jej psychice jako te, w których przeżyła dzieciństwo, jeden z najistotniejszych — według niej — etapów życia człowieka; dzieciństwo, które traktowała niezwykle poważnie, które broniła, widząc w naszej dziecięcej twórczości „fałszywy humor książek dla dzieci”.

Jej dziennik jest pełen Świdnika — na jawie i we śnie. Tylko świdnicki jest zapach jaśminu, tylko tu była prawdziwa zima, tylko do świdnickiego lasu można porównać inne, tylko tutaj są takie „wysokie ciurysy”, ptaki pierzaste... I tak porównuje wszędzie: w Warszawie, Puszczy Kampinoskiej, Sopocie... W twórczości, zwłaszcza zaś „Dzienniku” Kamińskiej jawi

Dotykałam ciemności

Korytarz, dwa stoliki, płonące świece. Cichutko gra pozytywka. Kilkoro młodych ludzi zaprasza do zmierzania się z ciemnością. Nastrojowe wiersze tworzą odpowiednią atmosferę. Czytam wpis do wielkiej, oprawnej w skórę książki „...Mrok to gra światła i cienia. Mroku nie można dotknąć. Nic nie waży, nie ma objętości. A jednak niektórzy twierdzą, że można dotknąć ciemności.”

Jeśli tak — jaka ona jest? Jaka jest Twoja ciemność? Odpowiedz o niej. Napisz tyle, ile chcesz, tak jak chcesz...”

Zanim zdecydowałaś się na odpowiedź, Michał zaprasza do środka.

DOTKNIĘCIE I

Wchodzimy w długi, pogrążony w półmroku korytarz. Zdejmujemy buty. W zupełnym milczeniu Michał prowadzi mnie do małego kąpieliska, odizolowanego od reszty pomieszczeń. Wszędzie czarna, miękka, udrapowana materia. Ciemność, ale przyjazna, rozjaśniona płonącą świecą. Siadam na wygodnej, ciepłej podłodze. Słyszę muzykę. Niezbyt głośną, jednak bardzo intensywnie oddziaływującą. Zamykam oczy i pogrążam się w ciemności. Dotykam jej. Jest ciepła i przyjemna. Głos płynący gdzieś z oddali kieruje moje myśli w świat dotyku, poznawany bez udziału wzroku. Co zyskuje poznając świat inaczej niż dotąd? Co tracę?

Delikatne dotknięcie budzi mnie z rozmyślań. Czas na

DOTKNIĘCIE II

Michał zawiązuje mi oczy szalikiem, prowadzi, Czuję — wchodzimy do następnego pomieszczenia. Milczymy. Siadam przy stole. Dłoni, bo teraz one są jedną możliwością poznania otoczenia, dotykam leżących przede mną przedmiotów. Sztućce, Zimne. Talerze. Kromki suchego chleba. Słyszę nalewaną wodę, ale nie mogę znaleźć pełnej fili-

zanki. Trafiam na jabłko. Mam ogromną ochotę je ugryźć. Po wolny przedmioty przestają mnie interesować. Ktoś pomaga mi wstać. Kieruje dalej. Boję się przewrócić. Czuję, że jestem sama. A ciemność już nie taka przyjazna.

Dotykam. Szukam. Kształt przypomina pianino. Mam już klawisze. Przesuwam się dalej. Palce trafiają na coś szeleszczącego. Liście. Pewnie są żółte i brązowe. Nie widzę tego. Wacham. Ciekawość co znajduje dalej. Ręka trafia na człowieka. Szybko się cofam. Dookoła panuje cisza i ciemność. Szukam przedmiotów. Mijam zawieszony dzwonecznik. Gdy je poruszyłam wydadł delikatne dźwięki.

Teraz „widzę” stopami. Idę po kamieniach. Dalej coś szeleści pod stopami. Sufit obniża się, muszę uklęknąć. Dłoni natrafiam na przeście. Posuwam się na kolanach. Jest miękko przyjemnie w dotyku. Cichutko gra pozytywka. Szukam wyjścia z tunelu. Tak sobie bowiem wyobrażam to miejsce. Trochę się dziwnie czuję, bo przeście staje się coraz ciśniejsze. Wreszcie trafiam ręką na jakiś kształt. To leży okryty śpiworem człowiek. Boję się, cofam. Muszę dobrą chwilę poczekać, by przemoć się i nie uciec. Nikt nie ingeruje, nie próbuje mi pomóc. Chyba muszę przesunąć się obok tego człowieka. Próbuję precyzować się tak by go ponownie nie dotknąć. Udało się. Uczucie ulgi. Ktoś pomaga mi wstać. Wypro-

wadza z labiryntu i zdejmuję szalik z oczu. Czuję, że przede mną

DOTKNIĘCIE III

Jestem w zupełnie innym pomieszczeniu. Znowu półmrok, znów świeca i materac. Opadam na kolana. W głowie zupełny chaos. Z pomocą śpieszy Basia. Pomaga mi „poukładać”, nazwać cisnące się myśli i wrażenia. Powoli się uspokajam. Już wiem, że ciemność to nie zawsze strach. Wiem też, że ciemność jest dobra. Gdy otaczają mnie tylko przedmioty. Jestem ogromnie zaskoczona intensywnością doznań, jakie niosą ze sobą — ciemność, cisza i dźwięk.

Swoje przejście przez labirynt kończy następna osoba. Jest zachwycona samym pomysłem „dotykania ciemności”. Ma także wiele wrażeń, ale zupełnie innych niż moje. Ona, by przetrawić ciemność, potrzebuje ludzi.

Powoli dobijają do nas pozostałi „dotykacze”. Jesteśmy już ostatnią grupą, więc w rozmowę biorą udział również organizatorzy. Dla nich to także było fascynujące przeżycie. Obserwowanie różnych reakcji osób pokonujących labirynt. Od strachu, ciekawości do przyjemności wręcz w obcowaniu z ciemnością.

Chętni, mogą już przy świetle, obejrzeć miejsca, które poznali dotykiem. Rezygnuję z tego. Chcę zapamiętać tylko to, co już poznałam bez udziału oczu.

• • •

Na koniec winna jestem wyjaśnienie. To wszystko przeżyłam w świdnickim Liceum Ogólnokształcącym, którego dyrektorem uczęszczała pani Barbarze Kasprzak i jej podopiecznym. Jest to młodzież, w większości ze Świdnika. Malująca, pisząca, lubiąca teatr i od czasu do czasu zaskakująca świdniczan tak wspaniałymi happeningami. O osiągnięciach tej grupy pisaliśmy już wielokrotnie w „Głosie”, między innymi z okazji spektaklu „Skrzydłodka”, teatryku „Pod Kulawym Syrenkom” czy udziału w paryskim konkursie o tematyce ekologicznej. Ich najnowszy pomysł to galeria „Powiem więcej”, a w niej dotykanie ciemności.

Anna Konopka

AUTOGRAF

Korzenny zapach myśli.
Gdy mogę, wylaczam światło
i wsiadam do podniebnej karuzeli
po tęczy w biel.
Autograf Pana Boga
złożony na moim czole.
Dotykam i sprawdzam.
Wtedy przerywają mi dzwonki
klaksony czerwone światła.
Świat się wtrąca.
Zawsze zdąża na czas.
Zanim się dowiem.



ZAMKNIĘCIE SZUFLADY

z nadzieją patrzyły na jej ręce
tysiące rzeczy niepotrzebnych,
gdy smukłe palce biegły mimo
tajemnic, których nie dostrzegły.
jak krag latarki w głębi nocy
muśnięcia dłoni lśnią w półmroku
listów zwietrzalnych, dawnych biletów
do nieodzownej stacji spokoju.
jak wyrok brzmi „co to ja chciałam”
mruknięte w cisze tlen i płowień.
gasimy światło, nasza szuflada
zamknięta dostatecznie w sobie.

Michał Szkaluba, świdniczanin, jest uczniem III klasy matematyczno-fizycznej LO im. Zamojskiego w Lublinie. Pisze, rysuje, gra na gitarze. Dwa razy był stypendystą Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci.

W czasie ostatnich wakacji uczestniczył w Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym w Paryżu. Jego najnowsza pasja jest dziennikarstwo. Od roku współpracuje ze „Światem Młodych”.

Stawomir Myk

Jak pielęgnować skórę zimą?

Zgodnie z wcześniejszymi obietnicami drukujemy kilka porad na temat zimowej pielęgnacji cery. Ich autorkami są pani — Małgorzata Bronisz i Dorota Majewska z gabinetu kosmetycznego przy ulicy Turystycznej 1.

Red. Jaki jest wpływ jesienno-zimowej pogody na naszą cerę?

M. Bronisz: Najbardziej narażone na niekorzystny wpływ pogody są twarz, szyja i ręce. Ujemna temperatura powietrza, jeszcze bardziej duża wilgotność i wiatr przyspieszają starzenie skóry (powstawanie zmarszczek), zaostrzają wszelkie stany chorobowe.

Spore kłopoty mają osoby ze skłonnością do pęknięcia naczynek krwionośnych i młodzież z cerą trądzikową.

D. Majewska: Ale jesienno-zimowe chłody to nie jedynie niebezpieczeństwo tej pory roku. Mieszkania, biura ogrzewane są kaloryferami, powodującymi nadmierne wysuszenie skóry, szczególnie groźne dla cer suchych i cer kobiet dojrzałych. Skóra twarzy bo tu zwykle najbardziej widać przesuszenie, nabiera szarego koloru, pierzchnie,

bywa lekko podrażniona.

Red.: Jak bronić się przed skutkami zimy?

M. Bronisz: Przede wszystkim powinniśmy przed wyjściem z domu natłuszczać twarz, najlepiej kremami zawierającymi kolagen i elastynę oraz witaminę E. Zależnie od rodzaju cery mamy do wyboru kremy półtłuste (skóra młodsza, tłusta) i tłusta (skóra sucha, dojrzała). Niektóre cery tłuste, ze skłonnością do trądziku, nie tolerują żadnych kremów. W takim przypadku warstwą ochronną tworzymy smarując twarz oliwką dla dzieci lub olejem parafinowym.

Sklepy kosmetyczne oferują duży wybór kremów. Niestety nie zawsze dobrej jakości. Generalnie polecałabym preparaty zachodnie, sprawdzonych firm, na przykład L'Oréal, Yves Rocher czy nieco tańsze — firmy

Oriflame. Z polskich kremów godne polecenia są jedynie nawilżający Soraya i kremy Eladern. Pozostałe długo zalegają na półkach, nie są wchłaniane, nie zawierają zbyt wielu składników odżywczych i o wiele częściej powodują uczulenia.

Przy dużym spadku temperatury lub dłuższym przebywaniu na powietrzu należy zastosować podwójne zabezpieczenie. Najpierw krem natłuszczający, a po jego wchłonięciu przez skórę jeszcze warstwę fluidu lub pudru. Warto pamiętać przy zakupach, by krem lub puder posiadał filtr chroniący przed promieniami UVA i UVB.

Red.: Co możemy jeszcze zrobić, by pomóc naszej skórze?

M. Bronisz: Niezastąpionym środkiem pielęgnacyjnym i upiększającym są maseczki. Można skorzystać z gotowych, na przykład doskonale nawilżającej, żelaznowej firmy Reinar czy polskiej — elastynowo-kolagenowej „She”.

Równie dobre, choć bardziej

pracochłonne, są maseczki wykonane własnoręcznie. Może to być obłożenie twarzy i szyi plasterkami banana, pomarańczem (grapefruita przy cerze tłustej). Godna polecenia jest maseczka z mielonego lnu, zaparzonego wrzątkiem lub z żółtka rozrzedzonego kilkoma kroplami dobrej oliwy czy wreszcie z ugotowanego ziemniaka, utartego z odrobiną twarogu.

Przed nałożeniem maseczki warto oczyścić skórę kremem — peelingiem. Są dostępne w naszych sklepach. Od bardzo delikatnych z dodatkami rozdrobnionych pestek winogron, migdałów, po nieco mocniejsze (do cer tłustych, grubych), zawierających rozdrobnione pestki brzośkwii.

Lekki masaż przystosowaniu jednego z tych środków, oczyszcza pory, złuszcza martwy naskórek i tym samym nałożona później maseczka czy krem łatwiej przenika w głąb skóry.

D. Majewska: Musimy też pamiętać, by kremy nawilżające,

tak bardzo potrzebne o tej porze roku, stosować tylko wtedy, gdy pozostajemy w domu i oczywiście na noc. Wyjście na powietrze — mroźne i wietrzne — zaoocuje siateczkę rozszerzonych naczynek krwionośnych i spierzchniętym naskórkiem.

Dobre efekty nawilżające daje przecieranie twarzy i szyi tonikiem bezalkoholowym, na przykład polskim „Gala”, „Aloe” lub firm francuskich, zawierających witaminę i wyciągi ziołowe. Czynność tę można powtarzać kilka razy i dopiero potem nałożyć krem.

Takie zabiegi wykonamy z łatwością w domu. Bardziej specjalistyczne możliwe są do wykonania w odpowiednio wyposażonych gabinetach kosmetycznych. Myślę tu przede wszystkim o nawilżaniu skór aparatem Vapozone i o dającym szybko i doskonale efekty — masażu twarzy i szyi.

Red.: Dziękuję za rozmowę.

Anna Konopka



Ciemny listopadowy ranek. Przy targu niewielka grupa myśliwych. Niepewnie zbierają się na zbiórke. Cała noc wiał silny wiatr i lał deszcz. To trochę odstrasza. Najwytrwalsi jednak nie zawiedli. Wyjeżdżamy o godz. 6.15. W Ciechankach Łanuchowskich, Ostrowku, Szpicy zabieramy miejscowych myśliwych i nagankę. Jesienny ranek budzi się leniwie, za chmur wygląda słoneczko.

— A nie mówiłem, że będzie pogoda — stwierdza siedzący z boku myśliwy. — Dla myśliwych nie ma złej pogody, jest tylko dobra i bardzo dobra — dodaje drugi.

Szybko uciekają kilometry, mijamy Chełm, jesteśmy na miejscu dokładnie w Nadleśnictwie Chełm w obwodzie łowieckim nr 29. Łowczy Koła, Janusz Mróz, zarządza zbiórkę myśliwych i naganki. Sygnał z trąbki „Darz Bór” wita uczestników polowania, wita też las. Polowanie rozpoczyna.

— W imieniu Zarządu Koła — prowadzi odprawę łowczy — witam wszystkich zebranych na polowaniu Hubertowskim. Dzisiejszym polowaniem rozpoczynamy czas wielkich łowów w naszym kole.

Trwa odprawa myśliwych. Przypomnienie regulaminu, przepisów bezpieczeństwa, określenie gatunku zwierzyzny przeznaczonej do odstrzału, losowanie grup. Prezes Koła — Janusz Misiurki wręczył dyplomy myśliwym, którzy nie wzięli udziału w obchodach 40-lecia Koła, oraz znaczki okolicznościowe osobom zasłużonym dla Koła. Nagrodę i podziękowanie, otrzymuje Jan Samek, który przez 21 lat pełnił funkcję skarbnika.

Myśliwi przyjęli też w swego szeregu nowego kolega. — Wstępując w szeregi Polskiego Związku Łowieckiego — powtarza za łowczym Ryszard Fryga — słubuję uroczystie przestrzegać zasad regulaminu polowań, być

etycznym myśliwym, dbać o piękno przyrody oczystej, wywiązywać się sumiennie z nałożonych obowiązków.

Losowanie grup podzieliło 26 myśliwych na dwa zespoły. Numery parzyste prowadzi — łowczy, nieparzyste łeńczy — Marian Mazur. Pierwszej grupie, do której przydzielił mnie łowczy przypadło Uroczysko Ludwinów, drugiej Uroczysko Ostrowy Zaleń. W grupach odbyło się losowanie stanowisk. Matematycznie opracowana karta wyznacza myśliwemu w każdym pedzeniu inne stanowisko. Chodzi o to by skrzydło pedzonego miotu — flanka za każdym razem przypadła innemu myśliwemu. Wylosowałam szóstą, środkową pozycję. Od tej pory na każdej zbiórce szukam myśliwego z tym numerem.

Wchodzimy w las. Szybki marsz i zajmuję wraz z myśliwym swoje stanowisko, to pierwsze pedzenie. Myśliwy nawiazuje łączność wzrokową z najbliższymi sasiadami, Ciszą, Naglę rozmawia głos trąbki. — To ruszyła naganka — informuje mnie myśliwy. Pełne oczekiwanie napięcie przerywa drugi, zupełnie inny sygnał, za chwilę trzeci.

Idziemy na zbiórkę. Już wiem, że drugi sygnał oznacza zakaz strzału w miot, trzeci — zakończenie pedzenia i rozładowanie broni. I znowu szybki marsz i zajmowanie stanowisk. Naganka ustawia się na ścianie pedzonego miotu, myśliwi zachodzą drogi i czekają na pedzoną zwierzyznę. Łowczy za każdym razem określa miejsce zbiórki myśliwych i naganki. Trzecie pedzenie. Zaczyna padać deszcz. Śliskie podłoże utrudnia marsz.

— W taką pogodę to tylko dzika albo zająca można upolować — tłumaczy mi myśliwy. Lisa chyba dzisiaj nie będzie. Lis to elegancki. Przy takiej pogodzie siedzi w norze. Nory są głębokie, dochodzą nawet do trzech metrów, mają komorę gniazdową i oprócz tunelu głównego szereg bocznych korytarzy, to wyjścia zapasowe. Przy dobrej pogodzie, rzadko z nich korzysta, chętnie kryje się w zarość traw, leśnej gęstwinie. Na żar wychodzi o zmroku lub nad ranem. Ma znakomite rozwinięty węch, słuch i wzrok. Jest wyjątkowo winny. To samiec, wchodzi się po okolicy, tylko w okresie rozmnażania prowadzi osiadły tryb życia. Jest przebiegły. Na obszarze swych łowisk kopie płytkie nory czasowe, w których chroni się w przypadku doraźnej potrzeby, np. polowania.

Nisko wiszące chmury synpely śniegiem, z liści drzew spadają ciężkie krople deszczu. Jest zimno i mokro, ale nikt tego nie zauważa. Zbiórka i kolejne pedzenie. — Tędy szły dziki — myśliwy wskazuje zryte poszycie leśne. Silna budowa tabakiery (nosa), kończącego gwizd (ryj), pozwala mu na przeoranie nawet zamrożonej czy kamienistej ziemi.

Zajmujemy stanowiska. — Pierwszy strzał ze stanowiska obok. Pudło. Zając był szybki. Myśliwy strzelając zachwiał się i spadł z myśliwskiego stołka. Sygnał — rozładuj broń kończy pedzenie. Idziemy na zbiórkę. Myśliwi żartują z kolegi. — Pamiętajcie jak Jankowi wpadł zając między nogi a ten trzymając go kolanami krzyczał, strzelajcie. To był widok, zaśmiewaliśmy się z szamotaniny, a zając uciekł.

Pierwszy strzał przeraził mnie, zrozumiałam, że to nie zabawa. Właściwie po cichu cieszyłam się z pudła. Przechodzimy koło ambon i pańska. Opiekuje się nim W. Limek. Jest jeszcze pusty, dokarmianie rozpoczyna się po pierwszych opadach śniegu.

Łowiectwo to nie tylko polowanie. To także gospodarowanie zwierzyzną, jej hodowla i ochrona. Do zadań myśliwych należy dokarmianie zwierzyzny, czuwanie by w okęgach łowieckich utrzymać jej prawidłowy przyrost. Wspólnie z nadleśnictwem ustala się ilość zwierzyzny przeznaczonej do odłowów. Niekontrolowany przyrost prowadzi do dewastacji środowiska, przecięt las może wykarcić tylko określona ilość zwierząt.

Zajmujemy stanowiska, kolejne, nie wiem już które pedzenie. Deszcz nie ustaje na chwilę. W taką pogodę trudno podziwiać przyrodę. Zaczynam ją jednak poznawać. Zrozumiałam niepokojącą, zdławioną w uszach ciszę — las odpoczywa, przygotowuje się do zimowego snu.

To teren bagnisty — myśliwi wprowadzają mnie w tajniki polowań — dzików tu dużo. Żyją w stadach, prowadzą nocny tryb życia. Dzień spędzają w gęstwinie zapustów i młodzików. Zalegają (spią) w wyrzniętych sobie barlogach. Spią obok siebie, tylko odynieć osobno. Żołędzie, jagody, ślimaki, pisklęta ptaków to ich pożywienie. Niszczą larwy wielu szkodników. Uczę się przyrody. Poznaje zwyczaje i gware myśliwych. Wiem, że dzik do roku to warchlak, dwulek — przelotek. Nogi dzika (biegli) kończą się rapkami i szpilami, szable — to kły dolne a fajki — kły górne. I nagle po pierwszym sygnale trąbki, tuż

obok zerwały się trzy dziki. Pedzą równolegle do nas. Padają strzały. Ciszą po chwili już wiemy, że jeden został trafiony. Ustrzelili go Stanisław Radwański.

Ten drugi strzał nie zrobił na mnie wrażenia — polowanie wciągnęło mnie. — Ciekawe czy nas widziały — zastanawiam się głośno. — Może i tak — śmieje się myśliwy. Śmieje się, bo on wie, że dzik ma doskonale rozwinięty węch, dobry słuch i słaby wzrok. Już teraz wiem to i ja.

Jestem przemoczona i trochę zmęczona. Jeszcze dwa pedzenia i zbiórka przy ognisku. Godzina 14.00, przy ognisku, zbierają się myśliwi i naganka. W grupie prowadzonej przez Mariana Mazurą padły trzy lisy. Na palenisku grzeje się prawdziwy myśliwski bigos, przygotowany przez prezesa Koła Janusza Misiurskiego, który nie ukrywa, że bigos robił jego żona. Zaraz będzie pieczona kiełbasa, ale najpierw zbiórka i pokot.

Upolowana zwierzyzna leży ułożona od największej do najmniejszej szulki. Dzik ma w głazie ostatni kęs — jedline. Wokół zwierzyzny stoją myśliwi i naganka. Król polowania, Stanisław Radwański, otrzymuje od łowczego „Jom” — galeję jedyną — symbol najwyższego odznaczenia w Polskim Związku Łowieckim. Sygnałem z trąbki „Śmierć Dzik” — myśliwi oddają hołd pokonywanej zwierzyźnie, sygnalem „Darz Bór” — zegnają knieje. Zwierzęta mogą spać spokojnie, myśliwi zakończyli polowanie.

Polowanie Hubertowskie udało się, dzik i cztery lisy to niezły rezultat. Dzik waży ponad 50 kg, lisy są też ładne, jeden ma niespotykane rude o srebrzystym odcieniu futra. Dzik pojedzie do punktu skupu, lisy zabiorą myśliwi: J. Radwański, J. Misiurki, W. Ochoduzko, J. Gargol. Upolowana zwierzyzna jest własnością Koła. Za ustrzelonego

dzika myśliwy otrzyma 20 proc. jego wartości (około 335 tys. zł.), za lisy, których nikt nie skupuje, myśliwy wpłaca do koła po 20 tys. zł. Koszt polowania nie jest mały. Za nagankę (960 tys. zł), autokar (600 tys. zł), furmanki (200 tys. zł) zapłacił myśliwy. Bigos, kiełbaski, fundował Koło.

Płonące ognisko strzela wysoko iskrami. Młodzi chłopcy z naganki suszą kurtki i buty, myśliwi grzeją ręce. Bigos i pieczona na patkach kiełbasa znikają błyskawicznie. Robi się ciemno, trudno jednak się rozstać. Najstarsi myśliwi J. Samek, J. Laskowski, J. Skiba, A. Radwański, S. Miałik, J. Wójcik, wspominają polowania. Choć nie ma mrozących krew w żyłach opowieści o ranionym dziku, który gonili myśliwego, szybko i przyjemnie mija czas. Widać, że razem czują się dobrze. Z Poznania gdzie mieszka od lat, przyjechał Leszek Ameryk, nie może rozstać się z kolegami. Istniejące od 40 lat Koło „Bażant” ma swoje zwyczaje i nie chce z nich zrezygnować. Na tradycyjne polowanie wigilijne myśliwi umówili się na 20 grudnia. Będzie jak zwykle śledź i opłatek.

Przy ognisku, dowiedziałam się, że było 12 pedzeń, teren polowania mojej grupy obejmował obszar około 450 ha lasu, a ja prześlazam co najmniej 20 km.

Wracamy do Świdnika, w autobusie wesoło. Sporo radości wywołało rozpoznanie przez mnie dwóch kuzynów — bliźniaków. Jeden jest myśliwym, drugi kandydatem na stażystę (Jaś i Staś Gargole).

Jestem zmęczona, cały dzień w lesie i 20 km marszu dają o sobie znać. Ciekawe jak będzie czuła się jutro, myślę z niepokojem przez drogę. Następnego ranka, wypoczęta, rześka, bez najmniejszego bólu w nogach, pobiegłam do pracy. Koło południa szef stwierdził — i co, nie byłaś na polowaniu. — Byłam, i wiesz, chyba zrozumiałam myśliwch.

Irena Wierchoś

ZAJĄC PO MYŚLIWSKU

Oprawione go zająca skrapiamy czerwonym wytrawnym winem (ok. pół szklanki), zawiązujemy w kawałek płótna i przechowujemy przez 2 dni w chłodnym miejscu. Na wyłożone plasterami surowego boczku dno brytanny kładziemy obłożonego boczkiem i osolonego zająca i dodajemy szczyptę pieprzu, ziela angielskiego i papryki oraz posiekana drobno cebulę. Wstawiamy do piekarnika. Po 40-60 min. pieczenia pod przykryciem, gdy mięso zaczyna być miękkie, zalewamy zająca sosem z dwu łyżek utartego chleba razowego zagotowanego z rosołem lub wywarem z warzyw (pół szklanki) oraz winem (pół szklanki). Pieczemy zająca w sosie pod przykryciem jeszcze 20-30 min. i podejmujemy, pokrojonego na porcje i polanego sosem.

(Ewa Orczykowska „Goście w domu”)

W „Locie” nikt nie lewitował

Świdniczanin omiął show prof. Alberta Ignatienki, „światowej sławy” fenomenu parapsychologii, jak głosił gazetowy anons. Uniknęły nam rewelacyjne popisy nadprzyrodzonej, wręcz kosmicznej siły za jedyne 35 tys. Nie dopisała publiczność. Profesor przyjmował więc indywidualnie. Za 80 tys. Przed kamerą kierownictwa kina — tego wieczoru przed gabinetem pana Ignatienki zgromadziło się około 20 osób. Jedną starszą panią, jedną młodą dziewczyną, większość w średnim wieku. Podekstywowani, jednocześnie pełni wiary i sceptycyzmu oczekiwali na swoją kolej dowcipkując i wymieniając doświadczenia z „szamanami”. Tylko jeden pan przystąpił się do poważnego schorzenia. Właśnie bioenergoterapeuta pomógł mu przed laty, ale na krótko. Nie zaskodzi spróbować jeszcze raz. Pani obok, po seansie uzdrowicielskim, dolegliwości ustąpiły na 7 lat. Inni przyszli pierwszy raz. Po prostu: z gazetą, na miejscu, w sobotni wolny wieczór. Młoda kobieta, pracująca matka dwojga dzieci liczy na dawkę pozytywnej energii, bo skąd wziąć czas i pieniądze na obskoczenie kilku specjalistów. Może pomoże.

Po wyjściu kolejnych pacjentów — jak na studenckiej, egzaminacyjnej giełdzie: co robił? co mówił? o co pytał? Starsza pani czuła ciepło i senność, no i przeszedł ból głowy. Kilkunastoletnia dziewczyna od terapii Ig-

natienki spaśowała jak róża. Jednej z pań dokładnie opisał jej dolegliwości, ale wcześniej ona powiedziała na co choruje. Ktoś dostał skierowanie do laboratorium, bo kamienie nerkowe, inny — receptę na sok buńczaczny z odrobiną octu. Nikomu profesor nie „odkrył Ameryki”. Wszystkim doradzał jeszcze jedno spotkanie oraz zalecał rozbiór z czekoladą i kawą. Blokuje jego moc — wyjaśnił S. I. Regularnie poddaje się kuracji Grigorenko, manager Ignatienki, szefa i twierdzi, że nie choruje. Wyglądał na okaz zdrowia.

Profesor nie ubrał złocistej marynarki, w jakiej uwieczniony został na reklamowym prospekcie. Wyglądał młodo, choć jest mężczyzną po 50-tce. Szczupły, energiczny, na mnie sprawił wrażenie nerwowego. Oto co powiedział „Głosowi”.

— Nie jestem cudotwórcą. Moje metody polegają na regulacji plusowej i minusowej energii, na wybalansowaniu pierwiastków — ing i —jang w organizmie człowieka, na wewnętrznej bioenergoterapii. Do każdej komórki organizmu wkładam informację zdrowia, zdejmuję z człowieka obłok złej energii, oczyszczam ducha przez modlitwę i podłączam do energii kosmicznej. Prowadzę diagnostykę i leczenie na odległość, nawet pacjentów z dalekich stron. Pracuję 29-ty rok. Swoje zdolności odkryłem mając 12 lat podczas

seansu hipnozy. Przekonałem się wtedy, że potrafię zrobić to, co pokazywa na scenie.

Profesor Ignatienko jest psychologiem i pedagogiem, absolwentem uniwersytetu w Moskwie. Pełni funkcję prezidenta Międzynarodowego Centrum Psychoenergosugestii przy Prezydium Akademii Nauk b. ZSRR oraz przewodniczy wielu innym organizacjom.

Na pytanie czy wie o ludziach, których wyleczył, pan Ignatienko parskał śmiechem, zerwał się z krzesła i odpowiedział, że ma 2000 uczniów pracujących w USA, Kanadzie, Niemczech, Francji, Anglii, Zauważyłam, że bardziej niż aureola światowej sławy przemawiają do ludzi fakty, konkretne przypadki, wszak nawet Kaspirowski, którego zna każde polskie dziecko, wozil ze sobą swoich ozdrowieńców. Usłyszałam o tysiącach pacjentów. O ich losach, ani słowa.

Gdy wróciłam do domu zakłóciło mnie serce. Ot i masz niewierny Tomasz — pomyślałam. Ani ja ufam, ani nie ufam w moc Ignatienki. Gdybym jednak miała jego siłę, to wytknęłabym niedowiarce defekty jego organizmu, tak, że z wrażeń i pióra, i magnetofonu wypadłby mu z rąk. Ale profesor nie jest mma. Nawet chciałam wyciągnąć z niego jakąś diagnozę następnego dnia, ale nie poszłam. Nie dlatego, żebym żałowała 80 tys.

Jolanta Chwałczyk

OGŁOSZENIA

Korepetycje z matematyki. Tel. 132-79.

ORTO — SYSTEM

Kompleksowe leczenie stomatologiczne: ortodonta, stomatologia zachowawcza, protetyka, chirurgia, pedodonta, logopedia.

Przyjmują klinicyści. Patronat specjalistyczny prof. dr hab. Anny Komorowskiej. Lublin, Godebskiego 5A codziennie w godz. 9.00 — 20.00.

Działkę zagospodarowaną koło przepompowni wody sprzedam. Tel. 138-23.

Klub Nocny „Akropol” zaprasza na najlepszy w Świdniku Bal Sylwestrowy. Informacje tel. 130-02 po godz. 14.00.

Gabinet ortopedii dziecięcej i ultrasonografii
Świdnik, ul. Racławicka 13/2. Tel. 160-95.
Badania profilaktyczne stawów biodrowych dzieci
USG stawów biodrowych
USG tarczycy
USG jamy brzusznej
USG — ocena ciąży i dróg rodnych.
Gabinet czynny codziennie w godz. 15.00 — 19.00, w soboty w godz. 8.00 — 12.00.
Rejestracja telefonicznie w godz. 9.00 — 19.00 (160-95) lub osobiście w godz. 15.00 — 19.00. ZAPRASZAMY

LUB — TURIST

Wycieczki: Włochy, Węgry, Grecja, Anglia
Przejazdy: Paryż, Rzym, Londyn
Narty, Sylwester w Czecho-Słowacji
Zapraszamy codziennie w godz. 9.00 — 16.00
TEL. 214-61 WEW. 51-06
BASEN — OŚRODEK SPORTOWY „AVIA”

Medycyna niekonwencjonalna

Medycyna niekonwencjonalna wciąż zadziwia i szokuje, a dzisiejszym ludziom trudno jest pojąć jej tajemnicę. Namówiłam do rozmowy pana Zygmunta G. — bioenergoterapeutę ze Świdnika, aby jej pracy.

● Czy bioenergoterapeuta mógłby zostać każdy?

— Na pewno nie. Trzeba do tego mieć specjalne predyspozycje, zdolności, dużo pracować nad sobą. Poza tym ten, kto chce zajmować się medycyną niekonwencjonalną, musi znać dokładnie strukturę komórki, budowę organizmu ludzkiego i jego funkcjonowanie. Bez znajomości medycyny konwencjonalnej nie ma mowy o leczeniu ludzi. Niezbędna jest także znajomość psychologii i psychiatrii.

● Czy pan posiada taką wiedzę? Jak pan ją zdobył?

— Uczylem się sam, a wiedzę zdobyłem w oparciu o literaturę fachową medyczną i własne spostrzeżenia z kontaktów z przedstawicielami medycyny.

● Skąd ma pan pewność, że pana wiedza nie jest zawodna?

— Świadczą o tym moja praca. Gdyby było inaczej, nie potrafiłbym podczas diagnozowania rozpoznać nieprawidłowości w budowie organów, w ich funkcjonowaniu, nie miałbym takich osiągnięć w leczeniu jakich mam. Potwierdzenie pozytywnych rezultatów swojego leczenia uzyskuje także kierując swoich pacjentów na badania kontrolne do placówek medycyny konwencjonalnej.

● Czy mógłby pan powiedzieć coś jeszcze o prawidłowościach występujących przy tym sposobie leczenia?

— Bardzo dużo zależy od nastawienia psychicznego pacjenta. Może ono zarówno pomóc, jak i przeszkodzić w zlikwidowaniu choroby. Tak jest i w medycynie konwencjonalnej, ale w niekonwencjonalnej jest to wręcz podstawą w leczeniu. Chceć pomóc pacjentowi muszę zdobyć jego zaufanie, traktować go jak osobę z najbliższej rodziny. Dość mu wiary w wyleczenie.

● Na jakiej podstawie wystawia pan diagnozę o stanie zdrowia pacjenta?

— Podstawową zasadą zdro-

wia człowieka jest równowaga psychiczna, fizyczna i energetyczna organizmu. Jeżeli równowaga energetyczna zostanie zachowana, wtedy odporność immunologiczna zmniejsza się i człowiek staje się podatny na choroby. Wiadomo, że każdy żywy organizm wytwarza wokół siebie biopole, inaczej — energię promieniującą z ciała. Człowiek zdrowy emituje fale elektromagnetyczne o długościach w granicach od 3 do 30 cm. Jeżeli jest chory, długości fal ulegają zmianie. Przy chorobach fizycznych są to długości fal od 30 cm do 890 cm, przy urazach i chorobach psychicznych powyżej 900 cm. Ja podczas diagnozowania działam jak odbiornik radiowy czy telewizyjny, wychytując poszczególne fale chorobowe. Na tej zasadzie ustalam stan zdrowia pacjenta. Ale jest to tylko jedna z metod diagnozowania. W razie potrzeby stosuję ich kilka. W badaniu pomocne jest specjalne wahadło, które spełnia podobną rolę jak antena radiowa czy telewizyjna.

● Czy pomiary te są pewne?

— Jeżeli mam jakieś wątpliwości, stosuję inne metody diagnozowania. Nie oznacza to jednak, że jestem nieomylny.

● Jak dużo czasu potrzebuje pan na wystawienie diagnozy?

— Od dwóch, trzech do piętnastu minut. Samo zaś leczenie polega na przekazywaniu przeze mnie energii zdrowia i życia z mojego organizmu do organizmu pacjenta.

● Czy może to być dla pana niebezpieczne?

— Czasami tak, gdyż istnieje możliwość przejęcia choroby od pacjenta. Coś takiego zdarzyło mi się już kilkakrotnie. Jednak trzeba się starać aby nie dopuścić do tego, a jeżeli już tak się stanie umieć zwalczyć chorobę u siebie. Leczenie to z mojej strony duży wysiłek. Wraz z przekazywaniem energii następuje niewielki spadek masy ciała, spada zawartość cukru we krwi, może wzrosnąć tętno. Są mi znane przypadki bioenergo-

terapeutów w trakcie leczenia.

● Czy po wizycie u pacjenta mogą wystąpić objawy uboczne?

— Tak, ale nie u wszystkich. Przez trzy doby mogą wystąpić objawy różnego rodzaju bóle, a dzieje się tak dlatego, że organizm pacjenta pracuje w tym czasie intensywnie nad samoregulacją. Jeżeli bioenergoterapeuta sam jest chory lub negatywnie nastawiony do pacjenta może spowodować u niego chorobę, dlatego nie powinien leczyć.

● Jeden z pana ostatnich przypadków chorobowych?

— Niedawno przywieziono do mnie niemowlę, które miało wrodzoną, dziedziczną wadę serca. Od dwóch miesięcy traciło na wadze. Po jednej wizycie u mnie w ciągu dwóch tygodni przybyło mu 1,5 kg. Dziecko było właśnie przygotowywane przez lekarzy do operacji, jednak ostatnie badania kliniczne stwierdziły brak wcześniej wykrytej wady. Przyszła też do mnie matka z sześciolatnią dziewczynką, u której okulista stwierdził brak widzialności w jednym oku. Moje rozpoznanie brzmiało — poszerzenie naczyń krwionośnych woskowatych w oku i nieprawidłowe ustawienie soczewki. Po dwóch minutach zabieg u dziewczynki zaczęła widzieć prawie normalnie.

● Czy uważa pan, że powinna istnieć współpraca pomiędzy medycyną konwencjonalną i niekonwencjonalną?

— Oczywiście! Profilaktyczne badania bioenergoterapeutyczne nikomu by nie zaszkodziły, a wręcz przeciwnie bioenergoterapeuta jest w stanie wykryć chorobę w stanie początkowym kiedy jeszcze nie daje ona objawów. A przecież wiadomym jest powszechnie, że im wcześniej choroba jest rozpoznana, tym jest łatwiejsza do wyleczenia.

● Z pewnością zdaje sobie pan sprawę, że wiele osób przyjdzie ze sceptycyzmem pańskie słowa?

— Tak, ale każdy człowiek ma wolną wolę i w związku z tym nie mam zamiaru narzucać swojego zdania innym. Interpretacje moich słów i decyzję co do wyboru sposobu leczenia pozostawiam każdemu z czytelników.

J.J.

Nie wiesz jak się przygotować do złożenia rocznego zeznania podatkowego za 1992 rok?

Nie wiesz jak wypełnić formularz zeznania? Jakie ulgi możesz wykorzystać? Jak zaoszczędzić na podatku dochodowym?

PRZYJDZ — POMOŻEMY — ZROBIMY TO RAZEM!

Podatki obrotowy i dochodowy
— deklaracje miesięczne
— zeznania roczne
Prowadzenie ksiąg podatkowych
— przychodów — rozchodów
Maszynopisanie komputerowe
— prace dyplomowe, magisterskie i inne

PUH SALDO ŚWIDNIK RACŁAWICKA 33/31

Agencja firm ubezpieczeniowych Polisa, Polonia, Hestia insurance i Warta zapraszają kierowców do zawarcia ubezpieczeń komunikacyjnych na 1993 rok.
Honorujemy zniżki za bezszkodową jazdę klientów Westy. Świdnik, ul. Wójtowska 1, Kruczkowskiego 6 A, Dom Rzemiosła tel. 166-63, 127-42, 130-01.
Zapraszamy!

Salon Dziecięcy „KUBUŚ” ul. Stawieńskiego 14

oferuje Państwu koncesjonowaną sprzedaż fajerwerków (petardy, race, moździerze, bączki, rakietki, rakietnice itp.).
Zapraszamy od godz. 10.00 — 18.00. W dniach 28, 29, 30 i 31 grudnia w godz. 10.00 — 20.00.

Podziękowania

Wszystkim znajomym, którzy okazali nam dużą pomoc w ciężkiej dla nas chwili podczas choroby mojego kochanego męża Mariana Górnego i tym, którzy uczestniczyli w odprowadzeniu na miejsce wiecznego spoczynku — składam serdeczne podziękowanie — żona, syn i córka.

Serdeczne podziękowania za pomoc w zorganizowaniu „Mikołaja” pani Dorocie Piecyk z firmy ubezpieczeniowej „Polisa”, pani Grażynie Mucha, panu Mieczysławowi Doleckiemu oraz PSS „Społem” za ufundowanie słodyczy

składa Dyrekcja Przedszkola nr 4

Wszystkim, którzy nam pomogli i okazali dużo serca w ciężkiej dla nas chwili oraz uczestniczyli w odprowadzeniu na miejsce wiecznego spoczynku, mojego kochanego męża Bolesława Szczepaniaka.

Serdeczne podziękowania składa

Zona z rodzina

SKRZYDLATE LATA

W czterdziestoletniej historii Aeroklubu Robotniczego były lata wzlotów i upadków. Wiadomo wszakże, iż historię tworzą ludzie i od nich w decydującej mierze zależy obraz rzeczywistości.

Wśród wielu członków świdnickiego aeroklubu postacią wyjątkową był bez wątpienia PAWEŁ ZOŁOTOW. Aby współczesnym przybliżyć nieco sylwetkę tego zmarłego 8 listopada 1979 roku nestora polskich pilotów, wypada sięgnąć do jego biografii. Nie będzie to takie proste, aby w kilkunastu wierszach zmieścić przebieg, skrzydlaty życiorys Pawła Zolotowa.

Urodził się 13. 11. 1892 roku w Taganrogu nad Donem jako syn Polki i Rosjanina. Od najmłodszych lat wykazywał zainteresowanie lotnictwem, które w owym czasie dopiero zaczynało się rozwijać. Jak bardzo fascynowały go ówczesne aeroplany świadczy „ucieczka” do domu rodzinnego do Petersburga, gdzie miał odbyć się międzynarodowy mityng lotniczy. Trzykrotnie łapany przez carskich stróży i wydalany z miasta, uparcie powracał na miejscowy hipodrom, aby być przy samolotach. Upór zaowocował pierwszym w życiu wzlotem w roli „lewego” pasażera z pilotem Jefimowem. Było to w roku 1910 i te datę wypada przypisać jako początek związania się Pawła Zolotowa z lotnictwem. Szukając drogi do latania zo-

stał najpierw mechanikiem lotniczym, a potem — odbywając służbę jako „achotnik unteroficer” — ukończył odeską szkołę pilotażu w 1915 roku. Wraz z wybuchem I wojny światowej podjął decyzję przedostania się do Polski, którą znał tylko z opowiadań swej matki. Poszedł, piechotą (!) i dotarł do Bydgoszczy, gdzie natychmiast zaangażowano go jako instruktora w Wojskowej Szkole Pilotów. Wśród wielu wyszkolonych wówczas przez Pawła Zolotowa oficerów znaleźli się tak sławni późniejsi polscy piloci jak: BOLESŁAW ORLIŃSKI (przełot z Polski do Japonii i z powrotem), STANISŁAW SKARŻYŃSKI (samotny przełot małym, sportowym samolotem ponad Atlantyk), a także FRANCISZEK ŻWIRKO (zwycięzca Challenge'u w 1932 r.).

Podczas pobytu w Bydgoszczy zrodziła się druga — poza lataniem — życiowa pasja Pawła Zolotowa: remonty, a potem rekonstrukcje starych samolotów. Z własnych oszczędności zakupił wówczas dwa przeznaczone do kasacji szkolne „Albatrosy”. Po osobistej przeprowadzonej naprawie jeden z nich zatrzymał dla siebie, stając się PIERWSZYM W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

WŁAŚCICIELEM PRYWATNEGO SAMOŁOTU, a drugi podarował Lidze Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej w Piotrkowie Trybunalskim!

Mimo, że Zolotow był tak wziętym instruktorem, to nawet w Polsce międzywojennej miewał problemy ze stałym zatrudnieniem. Zachowało się wiele dokumentów świadczących, że zmuszony był składać oferty o... pracę. Przez jakiś czas szkolił w Aeroklubie Wilenskim skąd „ściągnął” go do Łodzi jego dawny uczeń, a wówczas już komendant szkoły Lotniczego Przysposobienia Wojskowego — por. Żwirko. Potem trafił do Lublina jako oblatywacz w Centralnych Warsztatach Aeroklubowych, aby wkrótce znowu zostać... bez pracy.

Po wybuchu wojny, podobnie jak i dla wielu innych, także dla niego zabrakło samolotu. Wywieziony następnie przez okupanta na przymusowe roboty do Niemiec, oczekiwał jakiegoś wyzwolenia i wrócił do kraju. Znowu... piechotą! Wrócił do Lublina i zaczął organizować sportowe latanie. Był wówczas „wszystkimi”: kierownikiem, sekretarką, pilotem i instruktorem. Nie za długo zresztą, gdyż przy pierw-

szej „weryfikacji” uznano go za podejrzanego i zakazano nawet wstępu na lotnisko, nie mówiąc o czynnym lataniu. Wtedy też odeszła jego druga pasja.

— Nie pozwalają mi latać — stwierdził — to będę inaczej polskiemu lotnictwu przydatny. I wziął się za budowę samolotu „Farman”, repliki płatowca, na którym po raz pierwszy w 1910 roku oderwał się od ziemi. Ukończenie budowy „Farmana” w 1957 roku (budowanego przy wydatnej pomocy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, gdzie P. Zolotow otrzymał pracę w kontroli technicznej), zbliżyło się z przywróceniem mu praw pilota. Odtąd dzielił czas na latanie i odzwieranie samolotów.

Nikomu nie przyszło do głowy próbować w tamtych czasach mieć „prywatny samolot”. Ale Paweł Zolotow coś takiego sobie zamarzył. Wyprosił więc „u władz” złomowany samolot „Piper-Cub” (kilkadziestą takich płatowców z amerykańskiego demobilu latało w Polsce w pierwszych powojennych latach), wyremontował osobiście i 16. 05. 1961 r. uzyskał wpis do centralnego rejestru polskich cywilnych statków powietrznych! I w ten oto sposób mieliśmy nie tylko w

Świdniku, ale i w Polsce pierwszego właściciela prywatnego samolotu!

Na tym wszakże nie zakończył się lotniczy życiorys Pawła Zolotowa. Odremontował jeszcze jednego „Pipera”, a ponadto zbudował od podstaw repliki historycznych płatowców: „Bleriot — IX”, „Lotnia”, „Santos — Dumont” i wiatrakowiec „Bensen”. Dziś są one cennymi eksponatami w Muzeum Lotnictwa Polskiego.

Paweł Zolotow, człowiek niezwykły, najstarszy członek Aeroklubu Robotniczego, odszedł po prawie 70 latach czynnego udziału w lotnictwie. Ani w Lublinie, mieście, gdzie przez wiele lat mieszkał, ani w Świdniku, gdzie pracował i najwięcej czasu poświęcił chwale polskiego lotnictwa, nie odwołano mu się nawet nazwaniem jego imieniem jednej z ulic. A to przecież znacznie mniej kosztuje niż pomnik, na który z pewnością zasłużył.

Tadeusz Chwałczyk

P.S. Żywiąc głęboki szacunek dla Pawła Zolotowa i będąc przekonany, że gdyby żył, jako pierwszy podjąłby apel o finansowe wsparcie Aeroklubu Robotniczego w zakupie wyciagarki szybowcowej, zrękałem się honorarium autorskiego za niniejsze wspomnienie o nim. Redakcję „Głosu Świdnika” upoważniam do dysponowania kwotą na ten cel przeznaczoną.

Złoty Tomek i krzepki Waldek

Przy końcu starego roku staramy się zawsze aby na szpaltach świątecznej gazety nie zabrakło wspomnień o dawnych, wielkich gwiazdach świdnickiego sportu.

Ta lektura ma licznych zwolenników, zwłaszcza wśród młodzieży. I chyba nie bez kozery. Świdnickim chłopcom, a i dziewczętom także marzy się często wielka kariera sportowa, która jak wiadomo jest oknem na świat.

O znaczących sukcesach w sporcie marzyli również ponad dwadzieścia lat temu legendarny już dziś TOMASZ WÓJTOWICZ i WALDEMAR KOWALSKI.

Pierwszy jak pamiętamy był gigantem światowej siatkówki, drugi mistrzem skórzaných rękawic. Rozmawiałem z nimi przed kilkoma tygodniami.

Na „Złotego” Tomka natknąłem się niespodziewanie w Lublinie w początkach listopada. Poniżej przedstawiam ciekawsz fragmenty naszej rozmowy.

● Którą wielką przygodę sportową wspomina pan najbardziej?

— Bez wątpienia występ siatkarzy polskich w Montrealu. Tam wywalczyliśmy w wielkim stylu olimpijskie złoto. Tam też grałem jak z nut. Tuż po zdobyciu decydującego punktu w piątym secie trzygodzinny pojedynek finałowy z drużyną Związku Radzieckiego wywołała się w nas wszystkich szalona radość. Ten wielki, taniec zwycięstwa pamiętam do dziś. Całowaliśmy się wzajemnie, płacząc na przemian jak bobry. A później był Mazurek Dąbrowskiego, złote medale na szyi i ponownie żywy szczęście. A wszystko to wśród niemiłych braw publiczności.

Olimpiada w Montrealu otworzyła nową kartę w dziejach światowej siatkówki. Ta gra chwyciła niebawem szczególnie w Brazylii. Na stadionie Maracanã w Rio dwa mecze Brazylii z ZSRR oglądało w strugach deszczu 100 tysięcy widzów. Siatkarka wdarła się przebojem do Peru, Japonii i Włoch.

● Po występie w Montrealu znalazł się pan na pierwszym miejscu w rankingu na najlepszych atakujących świata.

— W wielu zagranicznych ilustrowanych magazynach sportowych i wielkich dziennikach dostrzegano liczne zdjęcia z moją podobizną. Na niektórych „wisiałem” w górze ponad siatką, na innych pokazywano ewolucje jakie wykonywałem w parterze. Na zdjęciach widziałem także w akcji EDWARDA SKORKA.

Stawa popularnego „Szabli” posła również w świat. Obaj rozdaliśmy tysiące autografów!

● Później przyszła kusząca oferta z Japonii?

— Jeden z czołowych klubów z kraju Kwintęga Wiśni zaprosił mnie do siebie. Do tego kontraktu nie doszło. Z kilku ważnych przyczyn!

● Twórcą sukcesów polskiej siatkówki był w latach siedemdziesiątych Hubert Wagner. Jego nazwisko miało silne magnetyczne na kraju. O żelaznych metodach treningowych stosowanych przez tego szkoleniowca mówiło się w pewnym okresie wiele. W telewizji pokazywano o nim film pod wymownym tytułem — „KAT”.

— Był to rzeczywiście trener który w pewnych sytuacjach nie znał sentymentów. Jeśli przy realizacji swoich wielkich planów nie widział „mokrej siatki” nie dawał nigdy spokoju ani sobie ani innym.

Treningi prowadzone przez tego wybitnego szkoleniowca wyglądały być może na „tortury” ale wszyscy wykonywali jego polecenia bez zmużenia oczu. No i jakby nie patrzeć wychodziło to nam na dobre!

● Swego czasu doznał pan kontuzji grzbietu...

— Rozumiem do czego pan zmierza! Dlatego też odpowiem krótko. Znałem ludzi, którzy nie uprawiali sportu i mieli również podobne urazy.

● Wróćmy do początków pana sportowej kariery...

— Wybrałem siatkówkę gdyż ta dyscyplina sportu była mocno zakorzeniona w rodzinie. Matka i ojciec znani byli dobrze w sportowym świecie Lubelszczyzny i nie tylko.

Zaczęłam rej wodzić w tej grze w lubelskiej „Budowlance”. Póź-

niej był MKS, następnie II liga w drużynie lubelskich akademików, no i Avia. W Świdniku w bardzo krótkim czasie udało się stworzyć solidny team siatkarzy, który zaczął dobierać się do skóry — najlępszym! Na naszym parkiecie „pekaly” z czasem Resovia i olsztyński AZS — wielokrotni mistrzowie Polski. Zaskutkowało to niewątpliwie również znakomitego duetu trenerów — JERZEGO WELCZA i KAZIMIERZA WÓJTOWICZA.

● Później była „wielka” Legia, a w latach osiemdziesiątych występy we włoskich klubach zawodowych...

— We Włoszech grałem siedem lat. W I i II ligowych zespołach. Z Parmą zdobyłem Klubowy Puchar Europy.

● A obecnie?

— Mieszkam w Warszawie, prowadzę mały biznes, a jeśli nadarzy się okazja odwiedzam Lublin. Jest to przecież miasto mojej młodości. Mam w nim wielu dobrych znajomych i przyjaciół. Z wielkim zainteresowaniem śledzę również występy siatkarzy Avii w I lidze. Sentyment do tej drużyny pozostał na zawsze.

● No cóż? Było, minęło wspomnienia pozostały... Są jednak jak żywe...

— Powiem tylko tyle. Kiedy wracam myślą do lat minionych, często w głowie się nie mieści, że to wszystko mogło być prawdą!

Kariera sportowa Waldemara Kowalskiego nie była tak błyskotliwa jak Tomka Wójtowicza. On jednak również zapisał się chlubnymi złotkami w historii naszego klubu.

Rękawice bokserskie założył na ręce po raz pierwszy na początku lat pięćdziesiątych, w Technikum Kolejowym w Olsztynie. Dyrektorem tej szkoły był znany mecenas sportu, wielki entuzjasta piłki nożnej i boks — JAN MARSZTALEK.

On to właśnie — mówi po latach Waldemar Kowalski — jako pierwszy powiedział mi, że jeśli przyłożę się solidnie do pracy na treningach, wyróżnie ze mnie tegi bokser.

W tamtych latach wyglądałem jak chuchro. Byłem chudziutkim chłopcem, zaczynałem walki w ringu od wagi papierowej. Z czasem zacząłem uczęszczać na treningi pięściarzy olsztyńskiej Warmii.

W tym klubie sięgnąłem po brązowy medal na MP juniorów. Z Warmii wyjeżdżałem na obozy kadry do Warszawy i Cietniewa, na których zajęcia prowadził „Papa” Stamm. Pomiędzy nami ringu uwijali się już wtedy tacy późniejsi mistrzowie pięści — bracia OLECHOWIE, GUTMAN, KULEJ i sam WŁADEK KOMAR.

Kolejne moje sukcesy to: brązowy medal zdobyty na ME Federacji „Kolejarzy” w Szczecinie, brązowy medal na MP seniorów w Krakowie i pasmo efektownych zwycięstw w barwach pierwszoligowej Avii (1965-72). Z tego okresu pamiętam najbardziej dwa zwycięstwa nad złotym medalistą z Tokio MARIANEM KASPRZYKIEM w meczach o wejście do I ligi z Górnikiem Wesoła oraz błyskawiczne zwycięstwo nad karkowskim bombardierem SKAŁKA na ringu w Lublinie. Dwukrotnie broniłem barw kraju w międzynarodowych spotkaniach z Anglią i NRD. W tych meczach uległem moim znakomitym przeciwnikom — to prawda, ale tanio skóry n'e sprzedawałem.

Barwny życiorys sportowy popularnego Waldka (od 13 lat jest kierownikiem Ośrodka Sportowo-Rekreacyjnego WSK) znała w większości miłośnicy pięściarstwa. Wiele z nich nie wie jednak, że droga do jego sportowych sukcesów nie była usiana różami. Jako młody chłopiec poszukiwał wcześniej pracy zarobkowej i mając się przeźożnych zajęć Rodzinnie żyło się bowiem nędze. Zaczął wreszcie pracować na kolei, na stacji Gąglawki, jako dzwurny ruchu.

Z tego okresu miał jak sam mówi sporo ciekawych przeżyć.

Rozmawiał: M. Kruk

Praca na kolei — powiada — była niesłychanie odpowiedzialna. Każda chwila nieuwagi mogła kosztować życie wielu istnień ludzkich. Któregoś dnia pomylił się fatalnie mój zmiennik i „wpuścił” na stację w Pasymiu pociąg pospieszny na... torowarowy! Widziałem na własne oczy skutki tej tragedii. Nie da się jej opisać! Swego czasu na polowanie w lasy olsztyńskie zjechał ze swą świtą sam I sekretarz KPZR NIKITA CHRUSZCZOW.

Tego dnia na stacji zaroilo się od wojska, milicji i... „cichociemnych”. Dośćtałem z miejsca kilku opiekunów, którzy śledzili każdy mój ruch, każde poruszenie. Kiedy pociąg zatrzymał się na peronie ówczesny przywódca Kraju Rad podzrywając skinięciem ręki najbliższe otoczenie dreptał w kierunku czarnej limuzyny po... długim czerwonym dywanie.

Nazajutrz do jednego z wagonów specjalnego pociągu zaczęto ładować zastrzelone dziki. Kilka-naście z tych zwierzaków było już bez smakowitych „szyniek”. „Wycięła” je jakaś niewidzialna ręka (!).

Później była służba wojskowa w Olsztynie, w czasie której grałem namiętnie w piłkę nożną w III ligowej Gwardii. Trzeci etap mego życiorysu zaczął się od miękkiego ładowania w Świdniku. Podjęcie pracy w WSK ustawiło moje życie rodzinne do dnia dzisiejszego.

Dziś po latach marzy mi się odrodzenie boksu w mieście. I wszystko zaczyna być chyba na „dobrej drodze”.

„Głos Świdnika” — Tygodnik WSK PZL i Zarządu Miasta w Świdniku
Redaguje zespół w składzie: Cezary LISTOWSKI (redaktor naczelny), Anna KONOPKA, Jan MAZUR, Irena WIERZCHOS (sekretarz redakcji)
— Adres redakcji: 21-045 Świdnik, Al. Lotników Polskich 1, tel. centr. 120-61 (wewn. red. 51-51 i 53-67) rozgłośni 51-52 — Druk: Drukarnia Zakładowa WSK „PZL-Świdnik” SA, Świdnik, ul. Al. Lotników Polskich 1 zam. 981 — 1500 sztuk